

# KATOLICKI TYGODNIK

„Rodzina”  
BISKUP

NR 49 (335) ROK VII

WARSZAWA 4. XII. 1966

CENA 2 ZŁ



KATEDRA  
KOŚCIOŁA ANGLIKAŃSKIEGO  
W CANTERBURY

# DRUGA NIEDZIELA ADWENTU

## LEKCJA

Z Listu św. Pawła Apostoła  
do Rzymian (15, 4—13)

*Bracia: Wszystko, cokolwiek jest napisane, dla naszego pouczenia napisane jest, abyśmy przez cierpliwość i pociechę z Pism świętych nadzieję mieli. A Bóg cierpliwości i pociechy niech skłoni was do jedności wzajemnej według Jezusa Chrystusa, abyście jednomyślnie i jednymi ustami chwalili Boga i Ojca, Pana naszego Jezusa Chrystusa. Dlatego przyjmujcie jedni drugich, jako i Chrystus przyjął was ku chwale Bożej. Bo powiadam, że Chrystus stał się sługą żydów dla wierności Bożej i dla utwierdzenia obietnic Bożych. Poganie zaś wielbią Boga za miłosierdzie, jako napisane jest: Dlatego wyznawać Cię będą wśród narodów, Panie, i imiennowi Twemu śpiewać będą. I znowu powiada: Weselcie się, narody, z ludem Jego. Oraz: Chwalcie Pana, wszystkie narody, i wysławiajcie Go wszystkie ludy. I znowu Izajasz mówi: Zjawi się potomek Jessego, który powstanie, aby panować nad narodami. W nim narody pokładać będą nadzieję. A Bóg nadziei niech was napełni wszelką radością i pokojem w wierze, abyście obfitali w nadziei i mocy Ducha Świętego.*

## EWANGELIA

Według św. Mateusza (11, 2—10)

*Onego czasu: Jan usłyszawszy w więzieniu o dziełach Chrystusowych wysłał dwóch uczniów swoich i powiedział Mu: Tyś jest, który masz przyjść, czy też innego czekamy? A odpowiadając Jezus, rzekł im: Idźcie, oznajmijcie Janowi, coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci są oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim głoszona jest Ewangelia, a błogosławiony, który się ze mnie nie gorszy. A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli widzieć na pustyni? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Ale coście wyszli widzieć? Czy człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto ci, którzy w miękkie szaty się przyodziewają w domach królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Oto wam powiadam: I więcej niż proroka. Ten jest bowiem, o którym napisano: oto posyłam anioła mego przed obliczem twoim, który przygotowuje drogę twą przed tobą.*

Perykopa ewangelii na drugą niedzielę Adwentu jest charakterystyczna z tych względów: najpierw ów przedziwny doping ostatniego proroka St. Testamentu — św. Jana Chrzciciela, skierowany do Chrystusa: „Tyś jest, który ma przyjść, czy też innego czekamy?” (Mt. 11, 3), owo przynaglanie Chrystusa do objawienia chwały i potęgi Mesjasza. Tak jak gdyby chciał Jan powiedzieć: skoro jesteś mesjaszem — a jesteś nim, bom sam na ciebie wskazał u wód Jordanu, mówiąc: „Oto Baranek Boży, oto ten, który zgładzi grzechy świata” — to czemu nie działasz jak mesjasz? Czemu panoszy się zło, czemu cierpią niewinni?”

Druga sprawa — to odpowiedź Jezusa Chrystusa. Nie tylko, że nie zaprzeczył iż jest spodziewanym mesjaszem, ale cytując prorocstwo Izajasza o znakach towarzyszących epoce mesjańskiej wskazał, że w tej chwili, na oczach jemu współczesnych dokonały się słowa wielkiego proroka: „Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci są oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, UBOGIM GŁOSZONA JEST EWANGELIA” (Iz. 35, 5-6, 61, 1). Któż tego wszystkiego może dokonać jak nie mesjasz, jak nie Syn Boży — Bóg i Człowiek w jednej osobie! A więc On, Jezus z Nazaretu, jest spodziewanym i prawdziwym mesjaszem.

Sprawa trzecia — to pochwała Jana Chrzciciela, pochwała najwyższa, pochodząca z ust samego Jezusa Chrystusa. Jan jest nie tylko prorokiem, jest kimś większym — jest prekursorem, heroldem Jezusa-Mesjasza. Jego osoba pełna jest wymowy, znaczenia religijnego i historycznego — jest pełną świętością.

My oczekujemy świąt Bożego Narodzenia, przeżywamy razem z Kościołem okres adwentu. Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że cechą tego okresu jest świętość? Jak my ją sobie wyobrażamy i jak w sobie ją realizujemy?

Każdy chrześcijanin, a więc i polskokatolik powinien być przekonany, że świętość jest mu konieczna nie tylko dlatego, by samemu się zbawić, lecz także, by zbawić innych. Świętość jest wymagana od tego, kto jest obciążony pracą apostołską, a my chcemy przeciw apostołom, ponieważ Kościół nasz jest Kościołem misyjnym. Tymczasem jak może uświęcać drugich ten, kto samego siebie nie uświęca? Świętość udziela się drogą promieniowania i ten, kto ją przekazuje, winien być sam nią przejęty na wzór św. Poprzednika Zbawiciela, który „był świecą gorejącą i świecą” (Jan 5, 35).

Doświadczenie każdego dnia wskazuje, że święci rodzą świętych. Pierwszą więc troską chrześcijanina winno być staranie o nabycie świętości. Niech będzie przekonany, że owoc jego apostołstwa będą uzależnione od tej świętości. Chociażby posiadał jakikolwiek inny talent, jeżeli pozbawiony będzie ducha Bożego, niech się obawia, aby nie był „miedzią brzęcząca” albo „cymbałem brzęczącym” (I Kor. 13, 1); bez świętości bezużytecznymi będą wszystkie jego prace, argumentacja i wszelkie wysiłki, które zrobią nieco hałasu, lecz mało lub wcale nie przyniosą owoców trwałych i pewnych. W świecie współczesnym przeżyła się świętość lukrowana, nie wystarcza świętość pozorna — trzeba świętości rzeczywistej, jaką posiadał Jan Chrzciciel.

Jezus Mesjasz daje wspaniałą charakterystykę swego herolda, herolda Prawdy i bezkompromisowości, ostatniego proroka Starego Testamentu — św. Jana Chrzciciela. Sławi jego nieugiętość, hart ducha, siłę wyrzeczenia.

Nie dzieje się nic takiego, czego by Chrystus nie był przepowiedział. On wyraźnie mówił, że „nie jest ucezn nad mistrza”, wskazując przez to drogę, którą kroczyć wypadnie. On za prawdę poniesie śmierć, za Prawdę Bożą, za prawdę, która przerosła swymi wymiarami umysł współczesnych Jemu ludzi i w ich ciasnych umysłach pomieścić się nie zdołała. Umiłowanie Prawdy zaprowadziło Jezusa aż na krzyż! Jan Chrzciciel był nie tylko heroldem Mesjasza, ale pierwszym, który za ideał najdroższy ze wszystkich, za Prawdę przelał krew, oddając głowę pod miecz ka-

towski. Wspaniały przykład nieustraszonego męstwa!

Od nas nikt dzisiaj takich wyrzeczeń nie wymaga. O umiłowaniu prawdy i służbie dla niej można czasem lepiej zaświadczyć życiem niż śmiercią. Umrzeć z heroizmu — to akt jednorazowy lecz żyć prawdą i dla prawdy — to poświęcenie każdego dnia.

Nawet gdy cierpimy od czasu do czasu cokolwiek — zapytajmy, czy dla prawdy, czy dla sprawiedliwości, czy dla Ewangelii, czy dla Chrystusa, dla Kościoła? Zbawiciel nazywał błogosławionymi tych, którzy cierpią ale jeżeli cierpią dla sprawiedliwości, dla Prawdy, dla Boga: „Błogosławieni jesteście, gdy przesładować was będą, i ze względu na mnie wiele złego mówić będą kłamliwie przeciw wam. Radujcie się a weselcie albowiem zapłata wasza obfita jest w niebie: tak bowiem przesładowano Proroków, którzy przed wami byli” (Mat. 5, 11-12), tak przesładowano św. Jana Chrzciciela, ślącego z Macherontu posłów do Chrystusa.

Znamy wszyscy życie, patrzymy na nie, stykamy się z nim, znamy je z różnych stron i z tej dobrej i z tej złej. Wiemy, że życie jest ciągłą walką, bo stale ściera się w nas pierwiastki dobra i pierwiastki zła. Gorliwość walczy z opanałością i lenistwem, miłość z zawziętością i złością, eność zwalczy chce występki, a łaska — grzech. Gdy się nad tym zastanowimy musimy przyznać za starotestamentowym Jobem: Bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi. Tak jest. Jest bojowaniem, jest zmaganiem nieustannym, jest walką na śmierć i życie!

Chociaż całe życie człowieka jest walką, to jednak czasami ta walka, ten bój stają się ogromnie trudnymi, a dla człowieka decydującymi. Wtedy należy dobrze rozważyć, co wybieremy. Wybieramy jednak zawsze to co Boże, co większe, co szlachetniejsze, wybieramy przede wszystkim to co nasze: nasz kraj, ojczyznę naszą i braci naszych. Wybieramy pokój przed wojną, prawdę przed fałszem, pracę przed gnuśnością, wzajemne poszanowanie przekonania przed fanatyzmem, przebaczenie przed zemstą, a miłość przed nienawiścią. Tak nakazuje męstwo chrześcijańskie, do tego zachęcają nas słowa uznania dla postawy Jana Chrzciciela wypowiedziane w Ewangelii przez Jezusa Chrystusa.

Izraelici żyjący w czasach Chrystusa często się powoływali na swe pochodzenie od Abrahama w mniemaniu, że samo owo pochodzenie wystarczy, aby Bogu się podobać i być zbawionym. My także często chętnym się, że jesteśmy katolikami, że należymy do Kościoła, że ten Kościół, jak z cegiel, z nas jest zbudowany. Lecz gdy mamy dla Kościoła ponieść ofiarę, gdy trzeba postąpić niekiedy inaczej niż inni — właśnie tak jak od nas żąda Chrystus, wtedy lękamy się trudu, nie chcemy się nikomu narazić, wstydzimy się swoich przekonania, nie stajemy nam sił i chęci, by rzetelnie spełnić swe obowiązki, tak jak gdybyśmy nie byli katolikami i Polakami: lękamy się. Czego? Czyżby przesładowania? Nie! Nikt nie może w Polsce Ludowej za przekonanie przesładować — to konstytucyjna gwarancja. Czego się zatem lękamy? Uśmiechu, słowa sąsiada, znajomego, kolegi. Powtarzamy: co o nas pomyśli ten lub ów? Chwiejemy się, naginamy: „Coście wyszli widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru?” Nie tą drogą szedł św. Jan Chrzciciel. Nie taką drogą szli pierwsi chrześcijanie i nie taką postępowali nasi ojcowie i dziadowie. Jedni i drudzy tak miłowali Chrystusa, tak w Niego wierzyli, że trwali przy nim mimo wszystkie niedogodności, że nie zawahali się oddać za Niego swego życia.

Od nas nikt tak wielkiej i heroicznej ofiary nie wymaga, lecz obowiązkiem naszym na pewno jest stałość w wierze i konsekwencja w spełnianiu tego co na nas włożył katolicyzm, zwłaszcza umiłowana przez nas polska jego forma, wyrażająca się bezkompromisową i jak najbardziej poprawną postawą dobrych katolików i dobrych, obywatelskich obywateli naszej Ojczyzny.

Ks. M. P.



Święta Barbara –  
patronka górników



tak to  
widzimy...

## JUBILEUSZ ODWETOWCA

Siedemdziesiąt lat dożył Wenzel Jaksch, z tego wiele lat w służbie rewizjonizmu. Urodzony w Czeskim Lesie w c.k. monarchii, przybył do Wiednia, aby poświęcić się pożytecznemu zajęciu: murarstwu. Po I wojnie światowej stał się — niestety — działaczem politycznym mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji. Kiedy jednak doszło do wchłonięcia Sudetów przez Trzecią Rzeszę, Jaksch zebrał manatki i wywedrował do Wielkiej Brytanii. Nie dlatego, żeby bolał nad zaborem Czechosłowacji, żeby nie aprobował zaborczej polityki Hitlera, nie... po prostu dlatego, że nie mógł się dogadać z henleinowcami co do swojej pozycji. Był to jednak genialny krok Jakscha, który zapewnił mu po wojnie opinię działacza antyhitlerowskiego.

Po wojnie Jaksch, rzekomy antyhitlerowiec, jest zajadłym propagatorem polityki antypolskiej, antyczeskiej, polityki rewizjonistycznej. Píše o nim WTK: „W ostatnich czasach występował wielokrotnie, głosząc teoryjki na wskroś hitlerowskie. „Nie faszyci, lecz naród polski ponosi winę za drugą wojnę światową” oświadczył... Na łamach Ost-West-Kurier dowodził, że bez Polaków nie byłoby Hitlera, a jednocześnie wojny. To polskie okrucieństwa” — w rodzaju tzw. krwawej niedzieli bydgoskiej — sprowadziły wszelkie zło... W ub. r. wstąpił się bezczelnym wywiadem udzielonym hamburskiemu tygodnikowi „Der Spiegel”, gdzie zastanawiał się nad przyszłością Polaków po wchłonięciu ziem nad Odrą i Nysą przez IV Rzeszę. Łaskawie proponował im pracę w kopalniach francuskich...”

Jubilat otrzymał w NRF Wielki Krzyż Zasługi z Gwiazdą. Depesze gratulacyjne nadeszli: /prezydent Luebke, kanclerz Erhard, wicekanclerz Mende i wielu innych.

A później dziwi się, że nazywamy ich rewizjonistami...

Wkrótce po jubileuszu Wenzel Jaksch znów ujawnił swoje oblicze. Gdy John Lyng, minister spraw zagranicznych Norwegii, wypowiedział się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, Wenzel zwrócił się do G. Schroedera, ministra spraw zagranicznych NRF, aby podjął energiczne kroki przeciw temu wystąpieniu. Następnie, nie czekając na oficjalną reakcję rządu, wysłał depeszę do ministra Lynga stwierdzając, że uznanie granicy na Odrze i Nysie jest „atakem na uzasadnione interesy Niemiec, naruszeniem Kartki NZ oraz paktu północnoatlantyckiego”.

# JEZUICI W POLSCE

Do czegokolwiek jezuita przyłożą rękę — zostawiają ponury, brudny wkład swojej interwencji...

Nie stanie się zmoreą Polski święta inkwizycja, nie dojdzie do takiej fali procesów o czary, o herezję, do takich prześladowań jak w Hiszpanii czy we Włoszech. Procesy czarownic, literatura jezuitska o czarach, gdzie w jednym worku lokuje się i czary i herezję — to sprawy w Polsce raczej marginesowe. Niemniej jednak oglupianie szlachty, tępienie niezależnej myśli religijnej, społecznej czy politycznej, stało się jedną z głównych przyczyn upadku Polski. Zawdzięczamy go w największej mierze jezuitom, a dopiero później możemy obwiniać oglupioną przez jezuitów szlachtę.

W ciągu aż nadto długiego okresu wpływów swoich na rządy w Polsce, na szlachtę i sejmy, jezuita torpedują każdą rozsądną myśl polityczną, jeśli tylko zalatuje ona „herezją”. Oni to nie dopuszczają do tego, aby Władysław włożył na głowę koronę carów moskiewskich, co na długie lata stworzyłoby pomost porozumienia między obu narodami, wiecznie sobie wrogimi. I tenże Possewin pisze do papieża:

„Trudno wyobrazić sobie rozmiary obojętności religijnej Polaków, jeśli carów Moskwy, Wasyla i Dymitra Szujskich do niewoli wzięwszy, miast nawracać, kaplicę im wybudowano, aby w swoich błędach trwać mogli”.

A w tymże czasie Robert Bellarmin, kardynał, który dwukrotnie kandydował na papieża, a w roku 1930 za pontyfikatu Piusa XII został zaliczony w poczet świętych — głosi:

„Śmierć jest i tak dla heretyków najlepszym wyjściem, gdyż im dłuższy ich żywot, tym więcej grzechów i tym sroższe czeka ich potępienie”.

Klemens VIII zwie ich „prawnym ramieniem stolicy apostolskiej”. A jezuita, którzy uważali się za najbardziej powołanych, najważniejszych rzeczników i reprezentantów katolicyzmu, doszli do przeświad-

zenia, że losy Kościoła katolickiego zależą przede wszystkim od ich poczynania, od ich egzystencji i powodzenia, a zatem uznali, szczególnie w Polsce, interesy zakonu, Kościoła i papieża za równoważne.

I jeżeli w Rzymie udało im się niejednokrotnie narzucać swoją wolę papieżom — w Polsce denerwowało ich, że król, jak z początku, a później szlachta, nie od razu stała się powolną ich dążeniom, nie od razu zgodziła się z ich metodami, a co do niektórych nigdy nie dała się przekonać.

Na zachodzie Escobar de Mendoza, głośny pisarz jezuitski XVII wieku wywodzi:

„Heretyk ma być natychmiast ekskomunikowany, ważność jego małżeństwa zawieszona, dobra skonfiskowane, winien być pozbawiony praw obywatelskich — o ile nie jest gotów do pokuty — ukarany śmiercią”.

Inkwizytorzy nie są obowiązani zapewnić utrzymanie dzieciom heretyka z dochodów dóbr skonfiskowanych, syn nie ma obowiązku wyżywienia ojca, znajdującego się w potrzebie, jeśli ten ojciec objawił zamiar odcięcia go od wiary katolickiej.

Polska tolerancja nie dopuszcza do tak nonsensowych i skandalicznie nieludzkich rozwiązań, niejedno równie absurdalne i niemoralne posunięcie jezuitów zostaje obalone, ale tolerowanie zakonu, pracującego takimi metodami — to jeszcze jeden dowód właśnie tolerancji polskiej.

\* \* \*

Powyższy fragment został zaczerpnięty z jednej z książek wydanych przez WLR w br.

Z jakiej?

**Między Czytelników, którzy do dnia 31.XII br. nadesłają poprawną odpowiedź podając tytuł i autora książki zostaną rozlosowane poniższe nagrody:**

I nagroda — budzik

II „ — wieczne pióro

III „ — komplet książek WLR



## JEDZIEMY NA WZASY



— Ojciec święty wciąż pracuje — rzekł sekretarz.  
— Jeszcze się modli — rzekł kapelan...  
— Dziwię się — ciągnął kapelan — że nie widać światła w oknach mezzaniny, pod piętnem ojca świętego. To tam, zapewne wiesz o tym, don Vittorio, przycupnęli jezuici, którzy kierują każdym jego ruchem. Tam się przygotowuje te przemówienia, te orędzia, te encykliki, które wprawiają świat w osłupienie...  
— Ale dam ci jedną radę: nigdy z nimi nie zadzieraj — rzekł sekretarz.

— Czy nie popełniają błędów odsuwając się trochę od młodzieży? — rzekł ksiądz Mas. — Zamykają niektóre swoje kolegia.

— Jezuici nigdy się za bardzo od młodzieży nie oddalą — rzekł kapelan. — Zamykają kolegia, ale nasze najważniejsze seminaria są w ich rękach. Mają szesnaście uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych; mają je i w Ameryce Południowej; mieli i w Azji. Wydają przeszło tysiąc ilustrowanych pism we wszystkich językach. Apostolstwo Modlitwy, którym zawiadują też oni, liczy sobie czterysta milionów czytelników. Ich bogactwa są bajeczne. Możesz je oszacować po bogactwie ich kościołów.

# KULISY PEWNEJ POLITYKI

— Jestem pewny, że odbiorą Rosję — rzekł sekretarz.  
Ksiądz Mas zapytał, śmiejąc się, czy za pomocą modlitwy świętej Tereski od Dzieciątka Jezus.

— Czyżbyś nigdy nie słyszał, don Vittorio, o Russicum, ich kolegium rosyjskim koło Matki Boskiej Większej? Prowadzą stamtąd podziemną robotę, pracując jezuitami ukraińskimi, polskimi, z krajów bałtyckich. Pewnego dnia zobaczyłem jak wychodzi z Russicum ni to tragarz, ni to włamywacz, z dziadowską torbą na plecach był to ojciec Urusow, wyjeżdżał do Rosji.

— Nie zapomnieli swej historii — rzekł kapelan. — Kiedy zakon ich został skasowany we wszystkich królestwach, jedna tylko Katarzyna Wielka oszczędziła ich. Zaraz po poprzedniej wojnie, widząc, że ścięto tam głowę prawosławiu, uznali, że chwila jest sposobna do przejścia po nim spadku. Powierzono to zadanie twemu rodakowi, don Vittorio, prałatowi d'Herbigny. Przewodniczył w Watykanie Komisji do spraw Rosyjskich, stworzonej przez Piusa XI i bardzo wówczas ruchliwej, która dziś na pozór drzemie. Jako zwykły prałat poprosił Sowiety o pozwolenie pojechania do nich i otrzymał je. Przed wyjazdem wyświęcono go w tajemnicy na biskupa, mógł więc na prawo i lewo konsekrować rosyjskich biskupów i wznieść potężny ruch katolicki. Kreml zdradzał w swych fundamentach.

— Prałata d'Herbigny wydalono z Rosji — podjął sekretarz — i w nagrodę został pozbawiony swego tytułu biskupa Ilionu. Jaki to śliczny tytuł. Był, właściwie biorąc, biskupem Troi. Zmarł w całkowitej niełasce.

— Takie rzeczy zdarzają się w Watykanie...

— Dzieło tego apostoła zostało podjęte podczas ostatniej wojny przez księży, którzy szli do Rosji w ślad za armią niemiecką. I pomyśleć, że Sowiety i ich poplecznicy mieli czelność boczyć się za to na Stolicę Apostolską.

— Ludzie nieraz bywają wobec nas niesprawiedliwi — rzekł kapelan. Czyż chrześcijaństwu wolno nie chwycić każdej okazji do rozkrzewienia się? Krzewienie prawdy jest jego świętym i podniosłym

zadaniem. Zarzucano nam również, z taką samą złą wolą, żeśmy rozśleli naszych księży po Chorwacji, kiedy powstało to krótkotrwałe królestwo: chyba nie spodziewano się po nas, że będziemy tam szerzyć prawosławie...

Na plac wjechał amerykański samochód. Za szybami ukazały się wesole twarze i zaryczał klakson pod adresem papieskiego okna. Zbiegli się karabinierzy, żeby uciszyć te hałasy. Amerykanie myśleli widocznie, że ojciec święty odpowiada na klakson o każdej porze.

— Szkoda, żeś nie widział, don Vittorio, mszy w dzień Bożego Narodzenia, którą papież dla nich odprowadził w roku zakończenia wojny — rzekł kapelan. — Zrobił to tylko jeden raz. Podczas wojny sam narzucił sobie obowiązek odprawiania w pierwszy dzień Bożego Narodzenia mszy dla korpusu dyplomatycznego w jednej ze swych prywatnych kaplic. Sztab amerykański uprosił go o wyświadczenie takiej samej łaski ich wojsku, u św. Piotra. Był to widok niesamowity. Wyobraź sobie bazylikę pełną, że i szpilki by nie wetknął, półpijanymi żołnierzami: wyśpiewywali na cały głos, posadzali sobie na plecach kobiety, przerwali wszystkie zagrody i filmowali papieża przy ołtarzu, podążając mu pod sam nos. Przybył w lektyce, ale w żaden sposób nie mógł się wydostać z bazyliki. Musiał czekać aż kościół zostanie opróżniony manu militari.

— Były to saturnalia, a nie msza na Boże Narodzenie — rzekł ksiądz Mas.

— Ojciec święty potrafił zrozumieć ten przesadny entuzjazm, jest bowiem ojcem wszystkich ludzi — odparł kapelan. A tak, don Vittorio, i właśnie dlatego nie mogłem pojąć, czemu tyle oburzenia na całym świecie wywołał fakt, że pobłogosławił pięćdziesięciu żołnierzom niemieckim w mundurach na samym początku wojny...

...Ale przecież zarzucano także papieżowi, że nie potępił zbrodni dokonywanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

— Nie chciał narazić niemieckich katolików na jeszcze ostrzejsze prześladowania, ale ledwie się wojna skończyła, napiętnował w konsystorz „diaboliczny narodowy socjalizm, który zgładził...”

— Dziesięć milionów ludzi — rzekł ksiądz Mas.

— Nie, „dwa tysiące księży polskich i czterystu księży niemieckich”.

— Statystyka rzeczywiście chwytająca za serce — rzekł ksiądz Mas.

— Ale dokładna. Statystyki Stolicy Apostolskiej są zawsze dokładne, tak samo jej informacje. Stolica Apostolska ogłasza tylko takie cyfry, których nie da się zbić: z oceną wydarzeń czeka, póki nie pozna wszystkich danych. Podczas pierwszej wojny światowej zadreżczano Benedykta XV, świeć Panie nad jego duszą, żeby potępił storpedowanie „Lusitanii”. Odpowiedział, że go ta katastrofa tym bardziej zasmuca, bo zginął w niej katolicki kapelan, ale nie ma możliwości sprawdzenia, w jakich nastąpiła okolicznościach. Jakże chcecie, żeby papież sprawdził okoliczności storpedowania?

— Zawsze podziwiam tę imponującą stałość mowy namiestników Chrystusowych — rzekł sekretarz — tę lekcję moralności, jakiej udzielają ludziom hojnie i z niezmożoną cierpliwością. „Przyczyną wojny — mówił Benedykt XV w swojej encyklice z 1 listopada 1914 r. — jest zapomnienie o przykazaniach Bożych”. — „Przyczyną wszelkiego zła — powiedział jego świątobliwość Pius XII w swej encyklice z 1 listopada 1939 r. — jest zapomnienie o Bożym majestacie”. Czyż nie mieli obaj racji?

— Pius XII potrafił rzucić swój głos na szalę — stwierdził kapelan.

— W orędziu wielkanocnym potępił bombę atomową.

— A pora już była na to, pora — rzekł sekretarz. — Teraz, kiedy mają ją nie tylko Amerykanie...

Ksiądz Mas wskazał na tablicę znajdującą się u wejścia na plac „Pius XII — zbawca miasta”.

— A żebyś wiedział, don Vittorio, że ocalił Rzym... Najpierw uratował miasto od głodu: to ciężarówka Stolicy Apostolskiej jeździły, przed wkroczeniem aliantów, na wieś po żywność dla ludności, księżęta i szewcy stali w ogonku do papieskich zup. Potem uratował Rzym od bombardowania swymi protestami i swoją obecnością.

— Jednak podobno tu i ówdzie jakaś bomba spadła — zapytał ksiądz Mas.

— Kościół św. Wawrzyńca został zburzony, ale już go odbudowano. Ojciec Święty przybył osobiście na jeszcze dymiące ruiny...

— Czy nie zarzucano mu jednak — zapytał znów ksiądz Mas — że nie protestował przeciwko bombardowaniu Warszawy, Londynu i tak dalej.

— Zawsze znajdują się ludzie, którzy będą mieli pretensję do papieża...

## ZBIOROWY OBŁĘD

(W 1965 r. wykryto w Polsce 1.500 bimbrów, a w pierwszej połowie 1966 r. — 860).

Wieś Koziebrody łączy ze światem jedynie podmokła droga polna. Jedyną placówką użyteczności publicznej jest sklep spożywczy Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Kiedyś — przed laty — był w tym sklepie dział monopolowy, ale zlikwidowano go, gdyż mieszkańcy wioski wódki nie kupowali. Niektórzy działacze społeczni wychwalali ich za to i stawiali za przykład innym. — „Patrzcie — mówili — i wzorujcie się na nich. Oto gardzą wódką, a z korzyścią dla zdrowia jedzą cukier”.

Ale pewnego dnia wybuchła bomba.

Funkcjonariusze MO wykryli w Koziebrodach pięć większych prywatnych gorzelni i kilkanaście małych, prymitywnych urządzeń do wyrobu samogonu. Podstawowym surowcem do pędzenia bimbru był cukier!

Te wydarzenia miały miejsce kilka lat temu. Nielegalni producenci spirytusu powędrowali do więzienia, odsiedzieli kary i spłacili wymierzone im przez sąd grzywny. Spożycie cukru we wsi zrównało się z poziomem ogólnokrajowym. Przez pewien czas koziebrodzianie domagali się w petycjach zbiorowych do władz reaktywowania w sklepie działu z wyrobami Polskiego Monopolu Spirytusowego, ale że jak raz w tym czasie Polska była na etapie wzmożonej walki z alkoholizmem, więc petycje zostały odrzucone. Powoli, stopniowo zacierało się bimbrowe piętno Koziebrodów. Nazwę wsi znów zaczęto wymieniać w sprawozdaniach i na naradach gospodarczych. Koziebrodzianie bowiem przodowali teraz w kontraktacji buraków cukrowych...

\* \* \*

Pewnej dżdżystej nocy w pobliżu Brodów Wielkich stojący na zakręcie szosy milicjanci, usłyszeli tętent kopyt końskich i krzyk kobiety:

— Ratunku, ratunku!

Krzykowi temu zawtórował płacz dzieci.

Funkcjonariusze MO włączyli silnik motocykla i pełnym gazem ruszyli na pomoc. Na widok nadjeżdżającego motoru, trzech mężczyzn tarmoszących kogoś na ziemi, wsiedli szybko na konie i popędzili przez łąki w kierunku lasu. Na drodze pozostała związana kobieta i dwoje wystraszonych dzieci.

Kobieta była mieszkanką Koziebrodów.

Odsłoniemy kulisy ponurej sprawy.

Wkrótce po wyjściu na wolność osób skazanych na więzienie za pędzenie bimbru odbyło się w Koziebrodach tajemne zebranie mężczyzn, zwolane z inicjatywy Klemensa Gorzkowskiego, Władysława Jagielnickiego i Zenona Krochmalczyka. Gorzkowski zwięźle wyjaśnił cel narady. Chodziło o dalszą produkcję samogonu.

— Musimy — mówił — przystosować się do nowych warunków. Przede wszystkim zaprzestaniemy sprzedaży bimbru. Będziemy go produkować na własny użytek. I to nam się opłaci, gdyż monopolówka jest droga. Rezygnacja z handlu zapewni nam bezpieczeństwo. Wódkę wytwarzać będziemy w jednej wspólnej gorzelni z buraków cukrowych. Kto odważy się kupować w sklepie cukier i pędzić z niego samogon na własną rękę, zostanie surowo ukarany. A kto by się ośmielił donieść o wszystkim władzom, niech wie, że dni jego życia będą policzone. Mężowie odpowiadają za swoje żony, ojcowie za swoje dzieci...

Chłopi zaaprobowali projekt Gorzkowskiego. W czasie wojny i w pierwszych latach powojennych przyzwyczaili się do picia własnej wódki i nie wyobrażali sobie życia bez niej.

Bimbrownia uruchomiona została pod stołą Ignacego Bąbkiewicza, w specjalnie do tego zbudowanym schronie, zaopatrzonym w urządzenia wentylacyjne i w przewody kominowe podłączone do parnika. Wszystkich mężczyzn w wiosce podzielono na sekcje, które kolejno zajmowały się pracą w gorzelni. Gorzkowski wymyślił i opracował tzw. „kalendarzyk trzeźwości”. W kalendarzyku tym wyznaczone były dni, w których poszczególne sekcje nie miały prawa brać wódki do ust. Część mieszkańców wioski musiała być zawsze trzeźwa na wypadek jakiejś inspekcji lub wizyty nieproszonych gości. Poza tym trzeźwi mężczyźni spełniali rolę strażników porządkowej, która usuwała z ulicy osoby podchmielone i interweniowała w razie awantur. Wyprodukowany bimbrowy magazynowano w schowku podziemnym, zbudowanym w zagrodzie Jagielnickiego. Alkohol rozdzielano za darmo. Sprawą tą zajmowali się Gorzkowski, Krochmalczyk i magazynier Jagielnicki. Założono w każdym gospodarstwie plantacje buraków cukrowych i zakontraktowano je w cukrowni. Odpowiednia pula wydzielona była na potrzeby bimbrowni. Niezbędne inwestycje przy produkcji samogonu opłacano ze składek.

Zorganizowana w ten sposób społeczność płaćła się w alkoholu. Darmowa wódka — bo przecież pracy własnej, buraków i rzadkich składek pieniężnych nie brano w rachubę — szybko zaczęła oddziaływać na życie wsi. Ale pojawiły się próby protestu. Niektóre kobiety miały już dość pijaństwa swych mężów. Wtedy problem utrzymania w ryzach posłuszeństwa i dyscypliny „krnąbrnych” bab stał się ciężkim orzechem do zgryzienia dla Gorzkowskiego i jego najbliższych zauszników. Obawiali się, by babskie języki nie sprowadziły do wsi milicji.

Mniej więcej w rok po założeniu w Koziebrodach nielegalnej gorzelni zmarł nagle w biały dzień na ulicy w stanie kompletnego zamroczenia alkoholem Mateusz Krzaczek, młody jeszcze, bo zaledwie 35-letni mężczyzna. Jego żona Krystyna, będąca w siódmym miesiącu ciąży, zaczęła lamentować i głośno złorzeczyć na panujące pijaństwo. Dyżurujące sekcje trzeźwych siłą wciągnęły ją do chałupy. Rozżalona kobieta odgrażała się, że zawiadomi milicję i wsadzi do więzienia trucieli. Gorzkowski nakazał śledzenie każdego jej kroku. Zabronił wypuszczania jej ze wsi. W kilka dni po pogrzebie Mateusza wybuchł w Koziebrodach pożar. Spaliła się chałupa Krzaczkowej. Pod tlejącymi belkami

znaleziono zwęglone zwłoki właścicielki domu. Przyczyną pożaru nie udało się ustalić.

W kilka miesięcy po tej tragedii przeciwko samogonowi jawnie zbuntowała się Janina Wróblewska. Jej mąż Kacper po pijanemu bestialsko znęcał się nad nią i siedmiorgiem dzieci. Oświadczyła wówczas, że dłużej nie ma zamiaru się męczyć i jeśli mężczyźni sami nie zdemontują gorzelni, to ona zawiadomi milicję. Pewnego dnia Wróblewska wyszła do lasu na grzyby i zaginęła. W tydzień później gajowy znalazł nad brzegiem przepływającej przez las rzeki starannie złożone ubranie kobiety. Potem, o kilometr dalej, rybacy wyłowili z wody zwłoki. Dowodów zbrodni nie było. Oficjalnie stwierdzono, że Wróblewska najprawdopodobniej utonąła podczas kąpieli. Ale wśród mieszkańców Koziebrodów zaczęto kojarzyć tragiczne zejście z tego świata Krzaczkowej i Wróblewskiej z ich protestami przeciwko pędzeniu bimbru. Na kobiety we wsi padł blady strach. Wyłamała się dopiero Małgorzata Jagielnicka, żona magazyniera bimbru, matka dwojga małych dzieci. Pewnego razu przyłapała ona swego męża na gorącym uczynku z ekspedientką sklepu GS. Po awanturze rodzinnej Jagielnicki nie wyrzekł się kochanki. Wprost przeciwnie, zaczął z nią żyć oficjalnie. Zaniedbał żonę i dzieci. Kupował przyjaciółce drogie prezenty, wyjeżdżał z nią do miasta na zabawy. Rozżalona i zdenerwowana Małgorzata oświadczyła mężowi w sklepie, że jeśli nie zajmie się domem, wtedy ona uświadomi wszystkim chłopów we wsi, w jaki sposób są oni oszukiwani i wyszukiwani przez trójkę cwaniaków. Jagielnicki rzucił się na żonę, zbił ją i zawłókł do domu. Zamknąwszy ją następnie w ciemnej komórce, pobiegł do Gorzkowskiego i Krochmalczyka. Małgorzata przypominała sobie los Krzaczkowej i Wróblewskiej i włosy zjeżyły się jej na głowie ze strachu. Zrozumiała, że naraziła się na wielkie niebezpieczeństwo, zapowiadając ujawnienie największej tajemnicy męża i dwóch jego współników. Z drugiej strony drzwi, zamkniętych na solidną zasuwę, płakały wystraszone dzieci. — Zostaną sierotami — pomyślała ze zgrozą. Nagle głowę uwięzionej rozjaśniła inna myśl. Powiedziała:

— Januszk, nie płacz, przysuń krzeselko do drzwi, wejdź na nie i spróbuj odsunąć zasuwę. Wtedy mama wyjdzie stąd...

Słyszała, jak chłopczyk pochlipując, ciągnie krzeselko, włoży na nie i męczy się z zamkiem. Wreszcie zasuwę szczerknęła i drzwi się otworzyły. Małgorzata wyjęła z szafy cieplejsze ubranko dziecięce, wzięła córeczkę na rękę, a synka za rączkę i wymknęła się z mieszkania. Na dworze było ciemno. Siąpił deszcz.

Kiedy Jagielnicki wrócił do domu w towarzystwie Gorzkowskiego i Krochmalczyka, zauważył, że żona uciekła. Zaczęto szukać Małgorzaty po chałupach, ale to nie dało rezultatu. Gorzkowski rozkazał mężczyznom siadać na konie i przeszukiwać okolicę. Sam w towarzystwie Jagielnickiego i Krochmalczyka pogalopował w kierunku miasta powiatowego. Sądził bowiem, że uciekinierka zmierza pod opiekę władz. Dopadli ją za Brodami Wielkimi. Gdy zaczęła krzyczeć, zakneblowali jej usta i związali. Wtedy zobaczyli, że w pobliżu rozbłysnął reflektor i ktoś na motocyklu pędzi w ich stronę.

Kiedy w kilka godzin później funkcjonariusze MO wkraczali do Koziebrodów, chłopci na rozkaz Gorzkowskiego demontowali bimbrownię i oczyszczali magazyn z samogonu. Sam Gorzkowski wraz z Jagielnickim i Krochmalczykiem pochycili ze swoich kryjówek pieniądze i kosztowności i pośpiesznie opuścili wieś. Wkrótce jednak zostali złapani. Skonfiskowano im znaczne ilości walut krajowej i zagranicznej oraz biżuterii.

JERZY ALEKSANDER

# REWIZJONIZM TOTALNY

Każdego roku umiera w Niemieckiej Republice Federalnej 100 tys. osób, które na mocy porozumienia wielkich mocarstw przesiedlone zostały z dawnych terenów III Rzeszy zwróconych Polsce i Czechosłowacji w rezultacie zwycięskiej wojny z faszyzmem hitlerowskim. Wraz z upływem czasu pierzchają rozpowszechnione dawniej złudzenia, że biologiczny proces wymierania rozwiąże kiedyś problemy polityczne związane z przagnieniem „wypędzonych” — jak w NRF nazywa się przesiedleńców — powrotu na ziemię zagrabioną przed wiekami słowiańskim sąsiadom i zwrócone im dopiero w 1945 r. Ostatnie wydarzenia w Niemczech zachodnich nie świadczą bynajmniej, by wraz ze zstąpieniem do mogił cmentarnych pokolenia przesiedlonych, automatycznie pogrzebana została sprawa „Heimatu” nieboszczyków. Sprawa ta żyje i rozrasta się, ponieważ jej źródło bynajmniej nie wytryska wyłącznie tylko z przeżartych nienawiścią umysłów członków Związku „Wypędzonych” i poszczególnych Ziomkostw. Teraz, po 21 latach od zakończenia najkrwawszej w dziejach świata wojny, wywołanej przez Niemcy, w całej okazałości ujawniła się prawda, że główną sprężyną, głównym motorem napędowym rewizjonizmu i odwetu niemieckiego jest aparat państwowy Niemieckiej Republiki Federalnej. Wszelkie parawony, zakrywające jeszcze do niedawna wstydliwie, albo raczej taktycznie, tę prawdę zostały odrzucone obecnie przez samych polityków bońskich, jak zdarta i nikomu już niepotrzebna szmata. W marcu 1966 roku rząd NRF w swojej osławionej, rzekomo „pokojowej” nocie do wielu państw, oznajmił wszem i każdemu z osobna, że jedynymi prawnymi granicami Niemiec są granice z 1937 roku. Wniosek wypływający z tego stwierdzenia może być dla rewanżystów i imperialistów niemieckich tylko jeden: obecne granice Polski i Czechosłowacji, a także zachodnia granica ZSRR na odcinku dawnych Prus Wschodnich, są nielegalne i jako takie muszą być obalone.

Rząd boński doszedł już do przekonania, że Niemiecka Republika Federalna jest obecnie tak silna ekonomicznie i militarnie, iż nie ma potrzeby owijania dłużej w bawełnę problemu przywrócenia Niemcom ich granic przedwojennych. Jeszcze nie tak dawno politycy bońscy, aby zamydlić światu oczy i osłabić jego czujność, odwoływali się w kwestiach granic do arbitrażu konferencji pokojowej, która zgodnie z postanowieniami wielkich mocarstw powinna być zwołana w celu ostatecznego ukształtowania powojennej mapy Europy. Odwoływanie się do konferencji pokojowej było przez wiele lat wygodnym wybiegiem manewrowym dla rządu bońskiego. Nie wierzył on bowiem i nie wierzy nadal — zgodnie zresztą z realną analizą powojennej sytuacji w świecie — by doszło kiedykolwiek do zwołania takiej konferencji. Ale teraz nawet parawan mitycznej konferencji pokojowej rząd NRF jawnie odrzucił. W dniu 11 września 1966 r. na kolejnym zjeździe rewizjonistów w Bonn minister dla spraw przesiedleńców, Gradl, oświadczył cynicznie, że Niemiecka Republika Federalna nie uzna postanowień konferencji pokojowej, jeśli ona nie przywróci Niemcom granic z 1937 roku.

Poczekajmy jeszcze 10 lat, a wtedy usłyszymy, że jedynymi legalnymi granicami są granice ustanowione w Europie przez Hitlera w szczytowym okresie jego potęgi. W pierwszych kilkunastu latach powojennych sztandar rewizjonizmu wręczono chytrze ziomkostwom przesiedleńców i im powierzono misję transmitowania w następne pokolenia Niemców nienawiści do wschodnich sąsiadów. Wtedy innego wyjścia nie było. Teraz funkcje te jawnie przejął rząd NRF. I nic nie wskazuje na to, by zatrzymał się on na drodze, po której od wieków maszerowali imperialiści niemieccy. Na arenie rewizjonizmu przesiedleńcy objęli obecnie rolę drugorzędne. Krzykliwe wiece „wypędzonych” przeszły na drugi plan wobec uprawianej ostatnio przez rząd NRF metody faktów dokonanych. Ukazało się już w Niemieckiej Republice Federalnej szereg ustaw, których zasięg stosowania — na razie teoretycznie — rozciąga się na obszar Niemiec z 1937 roku. Tak jest pomyślany boński kodeks karny, taką wymowę mają ustawy o obywatelstwie niemieckim, o wodach terytorialnych, o cłach itd. itd. W razie sprzyjającej sytuacji, kiedy „znikną chwilowe przeszkody w stosowaniu prawa niemieckiego na niektórych terenach” — jak mówią doktrynerzy rewizjonizmu — imperialiści niemieccy będą już mieli gotowe podstawy prawne do ponownej eksterminacji narodów.

Ostatni konflikt między generałami zachodnioniemieckimi a cywilnym rządem NRF powinien być ostrzeżeniem dla świata. Militarysty niemieccy w mundurach poczuli się już tak mocni, że jawnie domagają się przywrócenia siłom zbrojnym ich dawnej roli w państwie. Roli, jaką odgrywały one w Niemczech bismarkowskich, kajzerowskich i hitlerowskich. Nie wolno uspokajać się tym, że cywilny rząd boński przeciwstawia się generałom. To jest tylko sprawa taktyki, sprawa wyboru odpowiedniego czasu do przekazania wojskowym pełni władzy w kraju. Ostrzeżeniem dla świata powinny być także akty terroru, dokonywane przez neofaszystów niemieckich we włoskiej Górnej Adydze. Tam problem zmiany granic jest już rozwiązywany przy pomocy zbrojnej dywersji, której patronują koła rewizjonistyczne w NRF.

Oczywiście, w nowej fazie polityki rewizjonistycznej rządu bońskiego, rola związków przesiedleńczych jest nadal wielka. Krzyk przesiedleńców o rzekomej niesprawiedliwości dziejowej, zastosowanej wobec narodu niemieckiego, ma nadal przyzwyczajać świat do żądań niemieckich i wpajać w serca młodego pokolenia Niemców żądę odwetu. Nie dziwny się, że właśnie w 1966 roku, w roku oficjalnego zakwestionowania przez NRF powojennych granic w Europie, roku „puczu” generałów zachodnioniemieckich, imprezy rewizjonistyczne przesiedleńców nabrały szczególnie wielkiego rozmachu. Na zjeździe Związku „Wypędzonych” w Bonn w maju 1966 r. uczestniczyło ponad 100 tys. przesiedleńców. W zbiegowisku Ziomkostw Niemców Sudeckich w Monachium w czerwcu wzięło udział 350 tys. osób. Na wiec Ziomkostwa Prus Wschodnich przybyło do

September 1939

August

Septemb

Düsseldorfu 225 tys. zagniewanych na Polskę Prusaków, „którzy przed wojną — jak to oświadczył cynicznie przewodniczący komisji ogólnoniemieckiej Bundestagu, Rehs — byli ludźmi szczerze miłującymi pokój.” W dniu 11 września w całej Niemieckiej Republice Federalnej odbyło się tysiące wieców i manifestacji z okazji tzw. „Dnia Ojczyzny”, w których uczestniczyły miliony Niemców. Na te wiece, manifestacje i festyny dowożono ich wszelkimi środkami lokomocji państwowej i społecznej. Dziwimy się czasami po co w NRF istnieje ministerstwo dla spraw przesiedleńców, skoro nastąpiła już pełna integracja przesiedlonych z resztą społeczeństwa niemieckiego, skoro o wiele lepiej im się obecnie powodzi w Niemczech zachodnich niż w dawnych miejscach ich zamieszkania? Odpowiedź jest prosta: ministerstwo dla spraw przesiedleńców, z wytrawnym rewizjonistą Gradlem na czele, istnieje po to, aby organizować, podtrzymywać i rodmuchiwać nastroje odwetowe w społeczeństwie niemieckim. To jest rządowi NRF tak samo potrzebne do realizacji jego dalekosiężnych planów, jak bomba atomowa, o którą tak usilnie zabiega w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

(J. A.)



## Z ŻYCIA PARAFII POD WEZWANIEM WNIEBOWSTĄPIENIA PAŃSKIEGO W KRAKOWIE

W niedzielę, 25 września br., parafia przy ul. Friedleina 8 w Krakowie przeżywała uroczysty moment poświęcenia dwóch nowo wykonanych i estetycznie urządzonej bocznych ołtarzy ku czci Serca Jezusowego i Matki Bożej.

Na uroczystość przybył ks. bp T. Majewski. Towarzyszył mu jego następca na diecezjalnej stolicy krakowskiej, ks. administrator Benedykt Sęk, dotychczasowy dziekan i proboszcz Radomia.

Po poświęceniu ołtarzy ks. admini-

strator Benedykt Sęk odprawił Mszę św. w asyście ks. proboszcza E. Kaprańskiego i ks. K. Bonczara, a Słowo Boże wygłosił kanclerz Kurii Krakowskiej ks. Leopold Nowak.

W czasie Mszy św. kilka partii solowych wykonała Lucyna Kaprańska, uczennica liceum muzycznego.

Należy przy okazji podkreślić, że proboszcz parafii przy ul. Friedleina 8 w Krakowie, ks. Emil Kaprański, wraz z Radą Parafialną, a szczególnie z jej przewodniczącym p. Bałuckim, robi wszystko, aby kaplica była coraz okazalsza. Jeszcze w tym roku chce urządzić w kaplicy elektryczne ogrzewanie i wymalować wnętrze świątyni.

\* \* \*

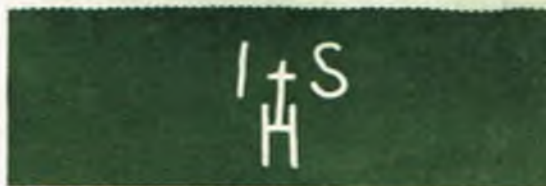
Dla orientacji mieszkańców Krakowa podajemy do wiadomości, że oprócz



parafii przy ul. Friedleina 8 w Krakowie są jeszcze inne polskokatolickie parafie. Oto ich adresy: ul. Kopernika 13 i ul. Łagiewnicka 54.

Kuria Biskupia Diecezji Krakowskiej

## Z ŻYCIA KOŚC



Kościół Polskokatolicki ma swoją siedzibę przy ul. Józefa Sarego 11. Godziny urzędowania codziennie od 8 do 15.00.

Ks. KAZIMIERZ BONCZAR



## UROCZYSTOŚCI PARAFIALNE W ŁODZI

W niedzielę dn. 11 września br. parafia pw. Św. Rodziny w Łodzi, przy ul. Limanowskiego 60 gościła w swej świątyni Ks. Biskupa Tadeusza R. Majewskiego, Ordynariusza Diecezji Warszawskiej, który przybył w towarzystwie Ks. Józefa Gabryśza.

Punktualnie o godz. 11 Najdostojniejszego Księdza Biskupa powitały najpierw dzieci, potem przewodniczący Rady Parafialnej p. Kazimierz Madajek. Przy śpiewie pieśni „Kto się w opiekę” ks. Biskupa wprowadzono procesjonalnie do świątyni, gdzie przemówienie powitalne wygłosił ks. proboszcz. Ks. proboszcz zaznaczył, że parafia przechodziła niezwykle koleje. W 1941 r. władze okupacyjne wydały zarządzenie usuwające z kościołów

i szkół język polski. Nabożeństwa mogły odbywać się tylko w języku niemieckim lub łacińskim. W miesiącu październiku 1941 r. Reichsstathalter w Poznaniu nadesłał ówczesnemu proboszczowi ks. Stanisławowi Marczewskiemu pismo zabraniające kontynuowania działalności w parafii polskiej. Ponieważ ks. St. Marczewski nie zaprzestał odprawiania nabożeństw w języku polskim, kilkakrotnie wzywano go na gestapo, gdzie próbowano skłonić go do przyjęcia jurysdykcji biskupa Kościoła Starokatolickiego w Niemczech (Niemca) i odprawiania nabożeństw w języku niemieckim. Ks. St. Marczewski jednak nie uległ namowom.

Parafia Św. Rodziny przetrwała okupację i utrzymała język polski w liturgii.

Po powitaniu rozpoczęła się Msza św., którą celebrował Ks. Biskup Ordynariusz w asyście ks. mgra Józefa Gabryśza i ks. Teodora Elerowskiego. Po skończonej Mszy św. ks. Biskup wygłosił kazanie, w którym nawiązał do perykopy ewangelijnej mówiącej o wskrzeszeniu młodzieńca z Naim i wezwał do powstania na duchu tak kapłanów, jak i lud



wierny, do służby Bogu i bliźniemu. Po kazaniu jeszcze raz przemówił ks. proboszcz, wyrażając podziękowanie ks. Biskupowi za przybycie. Podziękował również parafianom za ich ofiarność i oddanie dla parafii. W tym roku świątynia wzbogaciła się o nową figurę Chrystusa do grobu wielkanocnego, nowy paschał i krzyż procesyjny.

Na zakończenie uroczystości zebrani odśpiewali hymn „Boże, coś Polskę”, po czym Ks. Biskup udał się do parafii pw. „Matki Boskiej Nieustającej Pomocy” przy ul. Zeromskiego 56, a stamtąd na cmentarz przy ul. Ogrodowej do grobu śp. ks. bpa Adama Jurgielewicza, skąd po krótkiej modlitwie odjechał do Warszawy.

Ks. S. MUCHEWICZ



## UROCZYSTOŚCI W ŁĘKACH DUKIELSKICH

Dzień 8 września był wyjątkowo uroczystością obchodzoną w Łękach Dukielskich ze względu na jubileusz parafii – 40-lecie istnienia. W przeddzień uroczystości wizytował parafię ks. Benedykt Sęk, administrator krakowski w asyście kanclerza kurii, ks. Leopolda Nowaka. W sam dzień uroczystości Mszę św. odprawił ks. Fr. Rumiński z Jaćmierza, kazanie zaś wygłosił ks. R. Rawicki z Sanoka i ks. Teodor Elerowski z Łodzi. Ten ostatni jako dawny proboszcz Łek Dukielskich z radością stwierdził zmiany, jakie zaszły w parafii, świadczące o wysiłku proboszcza ks. Józefa Sobali i ofiarności parafian. Wyposażenie świątyni, fundamenty pod wieżę, nowa plebania, chór kościelny i grono ministrantów – wszystko to świadczy, że parafia rozkwita z każdym dniem. Jest w tym niemała zasługa Rady Parafialnej i takich gorliwych parafian jak: Wierdakowie, Zborowscy, Kołaczowie, Cypera, Świątek, Nawrocki, Jasiński, Białogłowicz, Czaja, Krążełek, siostra Anna i inni.

Ks. T. ELEROWSKI

# CHCIEĆ I UMIEĆ WYCHOWYWAĆ

„W jednej ze spraw o napad rabunkowy w Krakowie występował młodociany sprawca. Jak wykazał przewód sądowy rodzice ulegali wszystkim jego zachciankom. Posunęli się w tym do tego stopnia, że zaopiekowali się pewną młodą dziewczyną, by ich syn mógł zaspokajać z nią swe potrzeby seksualne”. Fakt ten zanotował Marian Lipka w artykule zamieszczonym w Tygodniku Demokratycznym. Wina rodziców jest w tym wypadku oczywista. Zaślepieni bezsensowną miłością do syna przyczyniają się do jego deprawacji. Świadomej deprawacji, bo przecież nie można zakładać, że ludzie ci nie znali podstawowych zasad moralnych przyjętych we współczesnym społeczeństwie. Nie zawsze jednak zagadnienie jest tak bezdyskusyjne.

M. Lipka przytacza w swym artykule statystykę, z której wynika, że w 1965 r. z ogólnej liczby nieletnich sprawców przestępstw nieletni mający oboje rodziców stanowili 82,9

proc., mający tylko jednego z rodziców stanowili 9,3 proc., sieroty — 0,6 proc. Spośród przestępców nieletnich uczęszczało do szkół 73,3 proc. Z danych statystycznych, które M. Lipka poprzedził pytaniem: „jakie odbicie znajduje problem przyczyn demoralizacji i przestępczości nieletnich w cyfrach” można wysnuć bardzo niebezpieczne wnioski, a mianowicie, że najłatwiej ulegają przestępstwom nieletni, którzy mają rodziców i uczęszczają do szkoły. Tymczasem sprawa wygląda zupełnie inaczej i tylko nieszczęśliwe sformułowanie doprowadziło do pewnego wypaczenia zamierzeń i myśli autora.

W związku z artykułem M. Lipki pragnąłbym podkreślić inne zagadnienie. Publicysta Tygodnika Demokratycznego raz po raz zwraca uwagę na odpowiedzialność rodziców za braki w wychowaniu dzieci.

Generalnie rzecz biorąc jest to pogląd słuszny, niemniej jednak trzeba wobec rodziców stosować taryfę ulgową. Wychowanie młodego pokolenia nie jest wyłączną domeną rodziców. Wywiera na nie wpływ cały szereg czynników, cały zespół ludzi i okoliczności. Wiemy, że czynniki te nie zawsze oddziałują w jednym kierunku, wpajają te same ideały i te same zesady. Często wskazania i przykłady są sprzeczne ze sobą, jedni „do La-sa inni do Sasa” ciągną. „Dzisiejszej młodzie-

ży trudno być moralną — mówi rolnik Łopuszyński w reportażu Jana Bijaka (Polityka, 29.X). Telewizja demoralizuje. Całują się, sypiają na kupie, francuska zgnilizna...” Czy opinia ta jest tak zupełnie pozbawiona racji? Kto więc ponosi odpowiedzialność za wychowanie? Rodzice? Ich udział w wychowaniu jest cząstkowy. Wpływ wywierają inne czynniki, a oni wpływu tego nawet nie są w stanie eliminować. Nawet gdy próbują, nie osiągają efektu i tylko zyskują opinię zafacowanych. Musimy szczerze przyznać, że wpływ rodziców na wychowanie własnych dzieci jest coraz bardziej znikomy, bo zewnętrzne, niezależne od nich czynniki wdzierają się do serc i umysłów dzieci i młodzieży i wyciskają swoje piętno. Rodzice często stają bezradni i załamują ręce.

I jeszcze jedną uwagę. Tyle się mówi o wychowaniu i odpowiedzialności rodziców za wychowanie, a czy zastanawiamy się, kiedy właściwie rodzice mają spełniać to odpowiedzialne zadanie? Całe dni biegają, harują, aby tylko zdobyć chleb i zapewnić utrzymanie dla rodziny, z dziećmi spotykają się często tylko wieczorem. Kiedy więc mają wychowywać? I jak to robić? Uczono ich rachować, pisać i wielu innych mądrości, ale czy ktokolwiek uczył ich jak należy wychowywać? A przecież nie jest to zadanie łatwe.

## W KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

Na czym ja mam pisać — wdychał świeżo przybyły do Tokio zagraniczny pisarz. Niewielka grupa podróżnych, do której należał, została umieszczona w hotelu utrzymanym w stylu japońskim, gdyż widocznie, na skutek nie dość wczesnego zawiadomienia o przyjeździe, nie zdążono poczynić odpowiednich przygotowań. Panowie byli z początku zdziwieni nie otrzymawszy oddzielnych pokoi. Nie wiedzieli oczywiście o tym, że zarówno w hotelach japońskich jak i w większości domów prywatnych w jednym pokoju śpią razem po dwie, trzy osoby, a nawet więcej. Goście znaleźli się w wyłożonych „tatami” (słomianymi matami) pomieszczeniach, w których znajdowały się wprawdzie szafy ścienne, ale poza tym, oprócz niskiego stoliczka, nie było żadnych mebli.

Podróżnym tym udało się przypadkowo przeżyć przygodę, której pragnie wielu turystów. Marzą oni mianowicie, „aby mieszkać kiedyś całkiem po japońsku”, albo, co więcej, „żyć po japońsku”. Prawdę powiedziawszy, mieszkańcy Azji Wschodniej, a zwłaszcza Japończycy, są dość sceptycznie nastawieni do tego rodzaju życzeń, mają bowiem swoje doświadczenia w tych sprawach. Weźmy np. same tylko trudności wynikające z nieznaności języka. Cudzoziemcy, nawet jeśli są niezwykle genialni, dobrze wychowani i posiadają łatwość przystosowania się do okoliczności, nie mogą się sami udać do japońskiego hotelu, to znaczy musi im ktoś towarzyszyć, lub muszą mieć przydzielonego tłumacza (co oczywiście znacznie podnosi koszt „przygody”). Hotele japońskie, z wyjątkiem hoteli przelotowych, są instytucjami niezmiernie ekskluzywnymi, tak, że zameldowanie i zamówienie z góry miejsca jest w każdym razie rzeczą niezbędną, nawet jeśli nie ma specjalnego tłoku. Pieniądze i bogactwo nie wystarczają żeby się dostać do naprawdę pięknego, eleganckiego japońskiego hotelu z ogrodem i basenem kąpielowym. Niezbędne jest do tego celu wprowadzenie przez jakąś szanowną japońską rodzinę, która jest stałym gościem tego zacnego lokalu. Członek tej rodziny towarzyszy następnie przez cały czas protegowanemu cudzoziemcowi, starając się, o ile możliwości, zaoszczędzić mu nieprzyjemności i trudności. W hotelach w stylu zachodnim prawie zawsze spotyka się obecnie Japończyków mówiących kiepskim lub łamanym językiem angielskim, ale nie zdarza się to prawie nigdy w hotelach japońskich.

### PANTOFLE WYŁĄCZNIE DO CHODZENIA PO DREWNIANYCH PRZEJŚCIACH

Cudzoziemcy wiedzą na ogół, że przekraczając próg japońskiego domu (domki te zbudowane są na słupkach wysokości pięćdziesięciu do sześćdziesięciu centymetrów) obowiązani są zdjąć obuwie. Na tym jednak kończy się najczęściej ich znajomość zwyczajów japońskich. Towarzyszący im Japończyk musi zwracać baczną uwagę na to, by pantofle, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, służyły jedynie do chodzenia po korytarzach o drewnianej, gładkiej podłodze, a nie do chodzenia po wyłożonych „tatami” (matami) pokojach. Przed oprowadzającym zagranicznych turystów Japończykiem piętą się coraz to nowe trudności: Jeden z zagranicznych gości „nie może spać w jednym pokoju

razem z innymi”, drugiemu przeszkadza, że ustawicznie wchodzi do pokoju bez pukania (jak tu pukać w papierowe drzwi?) zginające się w uprzejmych ukłonach służące, proponując gościom pomoc w rozbieraniu: trzeci nie chce się w ogóle rozebrać, gdyż nie ma ochoty na kąpiel, a wreszcie czwarty odmawia włożenia zachęcająco wyglądającego, świeżo upranego kimona, motywując to tym, że było ono już używane przez innych gości. (A tymczasem nie przeszkadza Europejczykom fakt, że jedzą tymi samymi sztućcami, które mieli już w ustach inni ludzie!).

### „DOSTOJNI” GOŚCIE MAJĄ PIERWSZEŃSTWO W KĄPIELI

W międzyczasie opadamy ze śmiechem i wrzawą (cudzoziemcy z Zachodu zachowują się zawsze hałaśliwie) na służące do siedzenia poduszki. Mamy przed sobą zieloną, japońską herbatę, która jest gorzka i którą się tu pije bez mleka i bez cukru — oraz mikroskopijne ciasteczka, zrobione z mąki ryżowej, cukru i marmolady sojowej. Obwąchujemy je ostrożnie jak gdyby to była trucizna. Zjawia się znów służąca, klęka i pochyła się tak, że prawie dotyka głową „tatami” (maty). „Czy mogę zaprowadzić Panów do kąpeli?” Zbliża się katastrofa! Panowie przeważnie dość szybko godzą się z myślą o wspólnej kąpeli w tej samej wodzie, ale panie reagują na tę wiadomość okrzykiem:

„Na litosé Boską! Mamy się kąpać w tej samej wodzie?” Na szczęście, dla szczególnie kapryśnych pań jest pojedyncza łazienka. A teraz nowy kłopot: Czy wszyscy umyją się i opłuczają przed wejściem do parującej wody? Bo w znajdujących się przy hotelach, nieraz bardzo dużych basenach kąpielowych, nie może być żadnego brudu ani żadnych mydlin, zwłaszcza jeśli są one zasilane przez gorące źródła. Korzystają z nich kolejno liczni goście. Osoby, zasługujące na specjalne względy, do których należą oczywiście rekomendowani cudzoziemcy, mają prawo pierwszeństwa w kąpeli, o ile nie wchodzi w grę gorące źródło, które ustawicznie odświeża wodę. Wkrótce rozlegają się oczekiwane krzyki: cudzoziemcy z Zachodu nie są przyzwyczajeni do brania się do gorącej kąpeli, jak to ma miejsce w Japonii, i boją się, że się poparzą albo że dostaną ataku serca. Japończycy radzą im wchodzić do wody pomału, ostrożnie.

„Nie, prędko zimnej wody!”  
Przeważnie, nie zawsze jednak, jest pod ręką kran z zimną wodą. Ku przerażeniu Japończyków zimny strumień przez dłuższy czas leje się do gorącej wody. Dla następnych japońskich gości kąpiel będzie zepsuta, gdyż boją się oni zaziębić w letniej wodzie. W międzyczasie jeden z cudzoziemców czmychnął w swoich pantoflach do ogrodu. Po prostu zapomniał, albo był za wygodny, żeby iść po swoje obuwie, znajdujące się w dość odległym korytarzu hotelowym. Opiekujący się cudzoziemcami Japończyk bąka znów słowa usprawiedliwienia:

„Proszę wybaczyć, państwo są pierwszy raz w Japonii!”  
Fakt zasiadania wieczorem do stołu w kimonach uważany jest przez większość zagranicznych gości za rzecz miłą i wygodną. Ale gdzie cudzoziemcy mają podziąć swoje długie nogi, zasiadając do jedzenia przy niziutkich stolczkach? Jedzenie ma być również „prawdziwie japońskie”. Wskutek tego towarzyszący gościom Japończyk — nie bez pewnej złośliwości zresztą — zapowiedział surowo personelowi hotelowemu, żeby nie podawano żadnych „steków” (befszytków) ani „katsu” (kotletów schabowych), to jest potraw, które przywędrowały z Zachodu, a które Japończycy chętnie dziś jadają. Surowa ryba, wszystkie rodzaje morskich i lądowych jarzyny, kwaśna zupa z soi i ryż — nie mają powodzenia. Uznane zyskują na ogół lżejsze zupy, jak rybna i grzybowa, podawane w mikroskopijnych ilościach plasterki surowych ogórków i pomidorów oraz pieczona albo smażona na węglach drzewnych ryba (ta ostatnia zresztą nie zawsze). Ostentacyjnie — i znów nie bez pewnej dozy złośliwości — Japończycy stwierdzają, że goście się nie najedli.  
(d.c.n.)

# O WSZYSTKIM PO TROCHU

## „BRATERSTWO“

„Rywalizacja między różnymi religiami przybrała w Stanach Zjednoczonych nieznaną dawniej rozmiar. I nie chodzi w tym wypadku nawet o antysemityzm czy o dyskryminację rasową. Podczas podróży po Południowej Karolinie miałem okazję wysłuchania zwierzeń prezesa Izby Handlowej w pewnym 50-tysięcznym mieście. Z absolutną powagą powiedział mi: „...to katolicy podminowują ten kraj. My, protestanci, bronimy się jak możemy. Każdy kościół katolicki jest gniazdem agitacji, a w piwnicach każdego pałacu biskupiego zmagazynowana jest broń. Chcą nas wydusić, rozumie pan. Chcą zlikwidować protestantyzm...”

Na południu Stanów Zjednoczonych wojny religijne dochodzą do takich zaciekłości, jak w czasach Albigenów. W Baton Rouge w stanie Luizjana, widziałem prawdziwe bitwy jakie toczyły dzieci katolickie i protestanckie po wyjściu ze szkoły. Ale nie sądzicie, że w łonie wspólnoty protestanckiej wszystko wygląda różowo. Ta wspólnota jest również podzielona. Poza baptystami, metodystami, adwentystami d. s., istnieją w USA 54 różne wyznania protestanckie i rośnie wzajemna między nimi niechęć”. („Candide”)

## INTERPOL

W 1914 r. książę Monaco Albert I zgłosił propozycję powołania międzynarodowego organu koordynującego pracę policji. Plan Alberta doczekał się realizacji w 1923 r. na kongresie w Wiedniu. Powołano wówczas do życia Międzynarodową Komisję Policji Kryminalnej. Obecna nazwa tej organizacji Międzynarodowa Organizacja Policji Kryminalnej, w skrócie Interpol, została przyjęta w 1965 r.

Interpol obejmuje 98 państw członkowskich. W każdym z nich istnieje Centralne Biuro Krajowe, które współpracuje z Sekretariatem Interpolu, mającym swą siedzibę w Saint-Cloud we Francji. Na czele stoi Komitet Wykonawczy, złożony z 13 osób.

Interpol zajmuje się tylko przestępstwami pospolitymi i posiada dane dotyczące prze-

szło 930 tys. przestępców. W 1964 r. zajmował się 4 tys. spraw.

Podczas ostatniego Kongresu Interpolu (35-ty), który zgromadził 140 delegatów z 75 krajów stwierdzono, że liczba przestępstw stale rośnie (kradzieże samochodów, biżuterii, dzieł sztuki, fałszowanie banknotów, losów na loterię, czeków podróży). Duże zasługi posiada Interpol w zakresie zwalczania handlu narkotykami. W okresie trwania Kongresu np. skonfiskowano w Nowym Orleanie (USA) heroinę wartości 1 mln dol., w Nowym Jorku wartości 3,5 mln dol., w Hongkongu skonfiskowano narkotyków na sumę 17 mln dol....

Jako ciekawostkę warto podać, że z pokoju hotelowego komisarza policji z Ghany, uczestniczącego w obradach Interpolu, skradziono pieniądze i чеки wartości 10 tys. franków. (Prawo i Życie).

## KULTURA BIUROKRACJI

Tytuł pochodzi od Edmunda Osmańczyka, wybitnego publicysty polskiego, który postawił powyższe zagadnienie na łamach „Polityki”. E. O. sądzi, że w Polsce słowo „biurokrata” bardzo niesłusznie nabrało pejoratywnego znaczenia, gdy w społeczeństwie o normalnym ciągu państwowości posiada godność urzędu, który dana osoba sprawuje”. Świadomość, że jest się „biurokratą” czyli urzędnikiem Rzeczypospolitej — powinna być raczej powodem szlachetnej dumy.

„Naród to kultura, ale państwo to biurokracja — pisze E. O. — albo jak kto woli urzędy i urzędnicy, działający — w socjalistycznym systemie — na rzecz normalnego życia wszystkich obywateli państwa.

Kultura obywateli w stosunku do swej Rzeczypospolitej wyraża się na co dzień poszanowaniem urzędników swego kraju, cywilnych i umundurowanych, każdego stopnia hierarchii służbowej. Oczywiście: na podstawie stuprocentowej wzajemności, a więc równego poszanowania obywatela przez urzędnika, który jest takim samym obywatelem tyle, że wykonującym państwowe funkcje.

E. O. ustala podstawowe warunki potrzebne dla rozwoju kultur biurokracji:

1. upowszechnienie wzajemnej uprzejmości,
2. upowszechnienie odpowiadania na listy (Polityka).

## DZISIEJSZA WIEŚ

Jakie jest największe osiągnięcie w waszym życiu. Czy sądzicie, że rodzice dobrze przygotowali was do życia?

Czy młodzież dzisiejsza jest lepsza niż dawna. Czy istnieją spory między młodzieżą i starszymi?

Czy dzisiejsze pokolenie młodzieży ma więcej szans zyskać szczęście w młodości niż dawne?

Co sądzicie o fizycznym zbliżeniu młodzieży przed ślubem?

Jaki widzicie pożytek w czytaniu i co lubicie czytać?

Jakie sprawy najbardziej was interesują: wsi, kraju czy międzynarodowe.

Czy postępy nauki i techniki niosą ludziom zło czy dobro?

Czy myśląc o przyszłości jesteście optymistami?

Z tymi pytaniami zwrócił się Jan Bijak (Polityka 29.X) do rodziny Łopuszyńskich. „Moi bohaterowie — pisze — wydać się mogą samą przeciętnością”. Mieszkają „za wsią, otoczeni ośmioma hektarami swoich pól i łąk. Mają dwa konie, tyleż krów, i jałowic”. Ojciec posiada wykształcenie niepełne średnie, córka Halina ukończyła technikum rolniczo-pszczelarskie i korespondencyjny roczny kurs kreslarski, syn Edward uczy się w korespondencyjnym technikum rolniczym. Jest to jednak w sumie coś więcej niż przeciętność polskiej wsi.

Na pytanie: czy myśląc o przyszłości są optymistami, padają nast. odpowiedzi: ojciec — Najważniejsze, że skończyły się czasy kultu. Gniebił wtedy chłopca.. Zmieniło się jak Gomułka nastał... A tak w ogóle, to jestem optymistą...

matka — dobrze się zapatruję na przyszłość moich dzieci...

córka — marzę, żeby w przyszłości wieś nie różniła się od miasta

syn — jestem raczej optymistą...

Reportaż ciekawy i udany pod względem formy. Zasluguje na uważne przemyślenie. (Polityka).

## STYL ŻYCIA GUWERNANTKI

Brat królowej belgijskiej Fabioli Don Jaime de Mora y Aragona napisał o stosunkach panujących w domu rodzinnym: „Wychowanie w naszym domu leżało w rękach guwernantki-dewotki Josephine Trageser. Jeśli moja zaślubiona w Belgii siostra wywiera silny wpływ na swego królewskiego małżonka, to nie wolno zapominać, że sama jest pod wpływem swojej starszej siostry, Nevy. A ponieważ Neva jest tylko odbiciem Josephine Trageser — duch naszej guwernantki określa styl życia Belgii” (Dookoła Świata).

## 4. Doświadczenia atomowe sięją śmierć.

Doświadczenia atomowe powodują wzrost radioaktywności powietrza, ziemi, roślin, zwierząt i ludzi. Przeciętne nagromadzenie strontu—90 w organizmie młodych ludzi od 5 do 20 lat wzrosło w Stanach Zjednoczonych z 0,26 do 0,51 jednostek.

Komunikat Japońskiej Akademii Nauk z 14 września 1959 r. stwierdza, że eksplozje nuklearne już dokonane będą przyczyną leukemii i raka kości u 140 tys. osób obecnie żyjących oraz innych typów raka u miliona osób. W sumie więc jest to wyrok śmierci na ponad milion ludzi.

## 5. Mała kadra badaczy.

Dotychczas naukowym badaniem przyczyn i metod leczniczych raka zajmuje się stosunkowo niewielka kadra badaczy. Ponadto w niektórych tylko państwach badacze ci posiadają odpowiednio wyposażone laboratoria i dysponują odpowiednimi środkami. Dla przykładu możemy podać, że we Francji pracuje w tej dziedzinie tylko 50 uczonych.

## WRÓG NIEPOKONANY 3)

### 1. Ilość zachorowań na raka płuc powiększa się.

Na każde 100 osób powyżej 45 lat — dwie ulegają chorobie raka oskrzeli. Procentowa ilość zachorowań stale wzrasta.

Przyczyny:

— zanieczyszczenie atmosfery gazami dobywającymi się z motorów, kominów fabryk i hut

— i palenie papierosów.

### 2. Niebezpieczeństwo tkwi nawet w żywności.

Eksperti kontroli sanitarnej wypowiadają się przeciwko stosowaniu jakichkolwiek barwników syntetycznych w podstawowych środkach spożywczych jak: w mące, chlebie, mleku, mięsie, owocach, leguminach itp. Zwracają uwagę na niebezpieczeństwo spożywania mięsa zwierząt, którym dawano antybiotyki i hormony celem przyspieszenia procesu tuczenia i wzrostu, spożywania roślin i owoców, spryskiwanych owadobójczymi środkami chemicznymi. Nawet woda może być nosicielem substancji powodujących choroby raka.

### 3. Rak nie oszczędza dzieci.

We Francji wśród chorób powodujących śmiertelność dzieci od 4 lat — rak znajduje się na siódmym miejscu. Profilaktyka stosowana przeciwko chorobom zakaźnym znacznie zmniejszyła ich niszczycielskie działanie, podczas gdy śmiertelność zachorowań na raka pozostała prawie na dawnym poziomie.



## BARBURKOWE ŚWIĘTO

Po raz dwudziesty drugi w Polsce Ludowej obchodzimy Święto Górnicze, tradycyjną „Barburkę”. Jest to święto nie tylko górników, lecz święto całego społeczeństwa, ponieważ uczestniczymy wszyscy w podziale dochodu narodowego, z którego duży procent jest dziełem rąk rzeszy górniczej.

Tegoroczne górnicze święto przebiegać będzie pod znakiem podsumowania osiągnięć i przygotowania załóg do wypełnienia nowych trudniejszych zadań w następnym roku.

Rok 1966 jest pierwszym rokiem pięciolatki 1966—1970. Ubiegła pięciolatka minęła pod znakiem zwiększenia wydobycia węgla z niecałych 111 milionów ton rocznie w r. 1960 do 119 milionów ton w r. 1965. W r. 1966 zaplanowano znaczne przekroczenie wydobycia. Jest to olbrzymi sukces, jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że kopalnie i przemysł węglowy Polski utrzymany był przez gospodarkę kapitalistyczną w stanie technicznego zacofania. Kopalnie były w rękach obcego kapitału. Górnicy mieli niskie zarobki w porównaniu z uposażeniem górników innych państw.

Dzisiaj zdecydowanie poprawiły się warunki pracy i życia górników. Od r. 1960 do 1966 oddano do zamieszkania górnikom ponad 250 tys. izb. Dzięki pomocy Państwa i Rządu nasze górnictwo wysunęło się na przodujące miejsce w świecie. Górnik ma zapewnioną opiekę lekarską, dobrze wyposażoną świetlicę dla spędzania wolnego czasu jak również mieszkania ze wszystkimi wygodami (około 70 proc. górników).

Warto by przypomnieć, że w ciągu 20-lecia Polski Ludowej uruchomiono nowe kopalnie: „Kościuszko”, „Wesola”, „Ziemowit”, „Porąbka”, „Nowy Wirek”, „Halemba”, „Julian”, „1 Maja”, „Jastrzębie”,



„Szczygłowice”, wyposażając je w nowoczesne zmechanizowane urządzenia.

Górnicy obchodzą swoje święto nadzwyczaj uroczyście. Miasta śląskie przybierają odświętny wygląd, oczekując na przybycie gości z całego kraju. Na uroczystości Barburkowe przybywa często I sekretarz Partii — Władysław Gomułka.

Za ofiarny trud, wyróżniający się górnicy zostaną udekorowani wysokimi odznaczeniami państwowymi i nagrodami.

Redakcja „Rodziny” kieruje swoje serdeczne życzenia dla rodzin górniczych w dniu Ich Święta.

EDMUND RADOCH

Fot. — Zbigniew Lewandowski



Cztery piąte naszej planety zajmują oceany morza, jeziora, rzeki, krótko mówiąc — woda. Uprawy rolne obejmują zaledwie jedną dziesiątą część ziemi. Przed światem staje zagadnienie wyżywienia i dożywienia głodujących. Ich liczba wynosi ponad miliard.

Tych kilka prawd miałam na myśli idąc na spotkanie z panem doktorem Stone Charriot, który w FAO (Międzynarodowej Organizacji Wyżywienia) jest jednym z kilku rzeczoznawców do spraw morskich.

— Scisłe: do spraw żywności morskiego pochodzenia — preycjuje doktor Charriot. — Wagę tego zagadnienia mogą pani uświadomić następujące liczby: w r. 1930 przypadało na kilometr kwadratowy morza około 15 ludzi, obecnie — 24. Około r. 2000 będzie ich 54. Obecnie przybywa nas rocznie ok. 60.000.000...

— ...a więc „dwie Polski”...?

— ...i tempo przyrostu zwiększa się, a zatem zagadnienie wyżywienia ludzkości, która razyna głodować staje się czymś niesłychanie doniosłym.

— I u nas ludzie narzekają na braki w zapotrzeniu żywnościowym...

— Polacy nie mają żadnych rozsądnych podstaw do narzekania. Ten brak koordynacji w dystrybucji żywności i niedociągnięcia organizacyjne, które tu zauważyłem absolutnie nie mogą nikogo niepokoić. Ciężar zagadnienia leży gdzie indziej — czy dóbr morskich wystarczy czy nie wystarczy?

— Na to pytanie nie można dziś odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco. Połowy ryb w skali światowej rejestruje się od r. 1945. Każdy rok przynosi poważny wzrost globalnej wagi tych połowów, zwiększa się tonaż statków rybackich, ulepsza się technika połowów, które niezadługo będą się odbywały za naciśnięciem guzika: radar wskazuje ławice ryb, telewizja kontrolować będzie przebieg połowu, automatycznie zarzucone sieci zagarną całą ławicę ryb, którą dociągną wodą (tak się dziś robi) do statku przetwórci. W r. 1963 połowy światowe wyniosły 26.000.000 ton, a w r. 1964 wzrosły w dwójnasób. W stosunku do produkcji zwierzęcej ziemskiej — morskie dostawy białka zwierzęcego stały się dwukrotnie wyższe. Ale... jaką to gra rolę w wyżywieniu świata? Po pierwsze jedną trzecią połowów dzielą pomiędzy siebie dwa kraje: Peru i Japonia. Dalej 62 proc. dzieli między siebie 10 krajów. W ogólnym rachunku 95 proc. połowów zgarniają 43 kraje najbardziej doświadczone w rybołówstwie, 5 proc. przypada 160 krajom, a wreszcie 220 krajów żadnego rybołówstwa uprawiać nie może.

— A przecież Peru i Japonia nie zjadają tych kilkunastu milionów ton ryb!

— Oczywiście! Ale sprzedają innym krajom tyle, ile im zbywa, a nie tyle ile te kraje potrzebują. Ten brak równowagi tłumaczy się warunkami klimatycznymi świata. W klimacie umiarkowanym ryba od złapania w sieć, aż po patelnię może bez zamrożenia spędzić 24 godziny w lecie, 4—5 dni w zimie. Między zwrotnikami, gdzie lokuje się największy procent ludzi głodujących, takie traktowanie ryb jest nie do pomyslenia: ryba zdycha w pół godziny po wyjęciu z wody, w dwie godziny rozkłada się i zamienia w cuchnącą truciznę.

— A konserwowanie nie rozwiązuje sprawy?

— Nie! W najmniejszym stopniu. Statki-chłodnie, chłodnie portowe, wagony i samochody-chłodnie do transportowania ryb czy przetworów rybnych w głąb lądu, są to dopiero częściowe rozwiązania, dostępne na razie tylko dla krajów zamożniejszych. Kraje gospodarczo zacofane nie posiadają takiej sieci chłodniczej — rzecz jasna — nie mogą korzystać z dobrodziejstw morza, bo podstawa spożycia jest ryba świeża, zamrożona lub nie, ale świeża, a nie solona, wędzona, gotowana w pomidorach czy w oliwie. I oto rybak islandzki łowi ponad 100 ton rocznie, gdy jego kolega z Kamerunu nie łowi więcej niż tonę. Pierwszy inwestuje stale w swój warsztat pracy: ulepsza statek, sieci, szkoli so-

bie pracowników, wyposaża swoje przedsiębiorstwo we wszystkie zdobycze techniki. Jest członkiem organizacji rybackiej, instytutu badawczego i nie liczy się z kosztami tam, gdzie widzi korzyści. Drugi natomiast łowi ryb tyle, ile zje sam, lub wymieni ponadto z krewnym rolnikiem na plody rolne. Nie rozwija się, nie inwestuje i przymiera głodem.

— A gdyby mógł inwestować?

— Właśnie. Wody naszej planety dostarczają obecnie ponad 52.000.000 ton żywności rocznie. A ile mogą dostarczyć? Nie wiemy. Wiemy tylko, że dostawa ta może być wielokrotnie zwiększona, ale nie jest nieograniczona. Jeszcze w 1961 r. uczeni obliczyli tzw. wstępną produkcję mórz, plankton i fitoplankton, drobne żyjątka i drobne roślinki pływające, którymi żywią się ryby — na 500 miliardów ton. W łańcuchu przetwórczym, gdzie te żyjątka i roślinki są zjadane przez małe rybki, te z kolei przez większe aż do największych — zachodzą, rzecz jasna, olbrzymie straty materii! tak, że najwyższa ilość ryb, jaką człowiek może wyłapać z tego procesu będzie wynosiła około miliarda ton.

— Ależ to bardzo dużo! To byłoby prawie 200 kg na głowę ludności!

— Gdyby nie to, że obliczenia teoretyczne nigdy nie są pewne. Teoretycznie produkcja

## ODSUNĄĆ WIDMO GŁODU



morska może przewyższyć stokrotnie produkcję rolną ziemi, ale... musimy się nauczyć jeść wiele, zanim nas głód do tego zmusi. A więc przede wszystkim ryby. Poza tym około 17.000 gatunków roślin i roślinek pływających morskich. Jadalnych! Japonia opiera na nich nie tylko jaki przemysł spożywczy, a nawet mydlarski i kosmetyczny. Nie należy również zapominać, że połowy ryb mogą być zwiększone pod warunkiem, że nie będzie się zwiększać zatrucia wód słodkich.

Przecież węgorz, troć, losoś, jesiotr i szereg innych ryb wędrownych płyną na tarło do wód słodkich lub odwrotnie i ta ich wędrówka gwarantuje rozwój gatunku. Jeżeli spadają połowy tych gatunków to znaczy, że zatrucie wód śródlądowych w danym kraju staje się zagadnieniem międzynarodowym, staje się problemem w skali światowej. Poza tym trzeba podnieść poziom uprzemysłowienia rybołówstwa obecnego. Statki-przetwórcie wyrzucają wszystkie odpadki, a ilość ich przekracza nie raz 30 proc. połowów — do morza. To jest marnotrawstwo, z którego korzysta chyba tylko plectwo morskie, jak wiadomo, przeważnie niejadalne.

— Dlaczego?

— Dlatego, że poważna ilość gatunków ptasich żywiących się rybami daje mięso z posmakiem tranu. Trzeba być bardzo głodnym, żeby to jeść. Wróćmy do przemysłu rybnego. Nie należy zapominać, że wartość spożywcza ryby wynosi 30 proc., a wartość przemysłowa 70 proc. Mączka rybna! Toż to jest zagadnienie gigantyczne samo w sobie. Wprowadzenie do spożycia mączki rybnej, wolnej już od rybiego zapachu, mączki, którą tak łatwo domieszać do innych pokarmów — dałoby zwiększenie spożycia ryb w krajach głodujących. Afryka zjada w przeliczeniu na głowę ludności 11 gramów białka zwierzęcego dziennie, w czym 1,3 grama pochodzi z ryb. Wprowadzenie odpadków rybnych do hodowli zwierząt mogłoby jeszcze bardziej zwiększyć produkcję zwierzęcą i tym samym zmniejszyć głód na świecie. Ale plan wyżywienia świata oparty jednoznacznie o produkcję rolną i morską wymaga jeszcze większego pogłębienia współpracy międzynarodowej.

— W jakich dziedzinach?

— Przede wszystkim właśnie w gospodarce wodnej. Trzeba podkreślić, że bardzo wiele państw przystępuje do ochrony wód przed zatruciem, ale... najbardziej zatrute wody są w Stanach Zjednoczonych, gdzie podobno nie ma sposobu na przemysł, aby go zmusić do wprowadzenia oczyszczalni. Coraz więcej państw podpisuje umowy międzynarodowe takie jak np. „oczko w sieci”.

— Oczko w sieci? A cóż to za umowa?

— Międzynarodowa umowa o ochronie narybku, która tak się zwie, ponieważ opiera się na formacie oczek w sieci. Po prostu oczka nie mogą być gęste i drobne, bo nie wolno łapać wszystkich ryb. Na co komu śledź o wadze 2 dkg? Ten sam śledź w rok później będzie ważył 20 dkg.

Rozmawiała  
JADWIGA PIECHOCKA

CZY  
ZAPRENUMEROWAŁEŚ  
JUŻ  
KATOLICKI  
TYGODNIK  
„RODZINA“?  
TYLKO PRENUMERATA  
ZAPEWNI CI STAŁĄ  
DOSTAWĘ TYGODNIKA  
DO DOMU!

# W KLESZCZACH MIŁOŚCI I NIENAWIŚCI <sup>6)</sup>

Sprawę ustalenia konkretnych dni wizyt Sąd pozostawił do uznania małżonkom. Hanna zaproponowała mężowi, aby przychodził do syna w poniedziałki i piątki oraz w pierwszą i ostatnią niedzielę każdego miesiąca.

— Wizyty twoje trwać będą od godziny 17,00 do godziny 18,00 — oświadczyła.

— Co, tylko jedną godzinę? — zdziwił się Karol. — Ja żądam co najmniej czterech godzin.

— Godzina to i tak za dużo dla drania, jak ty — odrzekła.

Górecki z niecierpliwością oczekiwał na pierwszą od długiego czasu wizytę u syna. Obawiał się, czy dziecko nie zapomniało go.

Wreszcie obfadowany zabawkami zadzwonił do drzwi mieszkania.

Odezwała się Hanna:

— Jeszcze pięć minut brakuje do wyznaczonego ci terminu wizyty. Naucz się przychodzić punktualnie.

Przez pięć minut czekał pod drzwiami na klacie schodowej.

Mareczek ojca nie zapomniał, ale po tak długiej rozłące czuł się trochę zażenowany. Jednak prezenty, jakie otrzymał, szybko rozwiały jego nieśmiałość. W mieszkaniu obecna była cała rodzina Haberów. Pięć par oczu czujnie śledziło zachowanie się Karola. On zaś zdjął jesionkę i powiewając ją w przedpokoju na wieszaku, począł bawić się z synem. Przez pewien czas nikt mu nie przeszkadzał. Ale w powietrzu po prostu wisiała chmura wrogości. Nagle Alina zdjęła z wieszaka jesionkę Góreckiego i rzuciła mu ją pod nogi. Powiedziała do Zygmunta Habera:

— Tatusiu, nie pozwól, by łachman tego śmieciarza wisiał obok naszych ubrań.

— Moja ty kochana córeczko, jakaś ty mądra — pogłaskał ją po głowie ojciec.

Karol nałożył palto na siebie i dalej bawił się z Mareczkiem. Potem nieopatrznie usiadł na krzesło. Alina natychmiast wyrwała mu je spod siedzenia.

— Jak śmiesz używać naszych sprzętów? — zawołała oburzona.

W oczach pozostałych członków rodziny Haberów zabłysła aprobata dla poczynania najmłodszej latorośli rodu. Górecki i tę zniechęcą przyjął w milczeniu. Zadowolenie dziecka wynagrodziło mu wszystko.

Punktualnie o godzinie osiemnastej Hanna oświadczyła:

— Koniec wizyty, proszę opuścić mieszkanie.

— Pozwól mi pobawić się jeszcze trochę z synem. Tyle czasu go nie widziałem — prosił Karol.

— Niech pan z nami nie dyskutuje i wyjdzie z tego domu — wtrącił się Zygmunt Haber.

Mareczek podbiegł do matki i tarmosząc ją za sukienkę, próbował skąpym zasobem swego słownika wstawić się za sobą i ojcem. Nic to jednak nie pomogło.

I znów popłynęły dni, tygodnie i miesiące. Wizyty Góreckiego u syna niczym nie różniły się od wizyt więziennych. Nigdy nie przebywał z dzieckiem ani na chwilę sam na sam, a zawsze pod strażą członków rodziny Haberów. Po lekcji, jaką mu dała Alina, nie śmiał siadać na krzeselku i wieszac wierzchniego nakrycia na wieszaku. Nie pozwolono mu w razie potrzeby korzystać z ubikacji. Jeśli przyszedł do syna trochę wcześniej, musiał czekać pod drzwiami, aż wybije godzina siedemnasta. O godzinie osiemnastej bez pardonu wyrzucano go z mieszkania. Kilkakrotnie zauważył, że w czasie wizyty Alina przesuwiała wskazówki starego zegara szafkowego, skracając w ten sposób odwiedziny. Powoływanie się Karola na własny zegarek nie odnosiło skutku. W niedziele, wbrew ustaleniom sądu i początkowej zgodzie samej Hanny, w ogóle nie dopuszczano go do syna. Stary Haber oświadczył zięciowi, że nie pozwoli, aby człowiek opluwający fundamenty religii rzymskokato-

lickiej, przebywał w bogobojnym domu w dniach poświęconych Bogu. Pod tym pretekstem nie pozwolono Karolowi odwiedzić syna w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, chociaż był wtedy poniedziałek.

Górecki kilkakrotnie odwoływał się do Sądu dla Nieletnich i prosił o szczegółowe uregulowanie wizyt u syna. Jednak sąd miał wiele poważniejszych spraw na głowie niż sprawa Mareczka i jego poważnionych rodziców. Sędzia, owszem, wezwała Hannę do siebie na rozmowę i pouczyła ją o niewłaściwości jej postępowania, ale matka Mareczka orientowała się już, że w obecnym stadium sprawy sąd nie dysponuje żadnym realnym środkiem przymusu i z konieczności musi ograniczyć się do perswazji. Teoretycznie mógłby powierzyć ojcu wykonywanie władzy rodzicielskiej nad synem lub umieścić Mareczka w Państwowym Domu Dziecka, ale w praktyce obie te ewentualności były całkowicie nierealne. Niespełna dwuletni chłopczyk potrzebował kobiecej opieki, a Karol nie mógł mu jej zapewnić. Natomiast w Państwowych Domach Dziecka brakowało miejsc nawet dla sierot i wielu dzieci, którymi rodzice w ogóle się nie interesowali. W tym stanie rzeczy Hanna i jej rodzina na nowo wzmożli szukaną. Tylko od kaprysów tych ludzi zależało, czy Karol ujrzy syna w dniu wyznaczone na wizyty. Niestety, znów często nie dopuszczano go do niego.

W połowie lipca 1962 r. Górecka oświadczyła mężowi:

— 1 sierpnia wyjeżdżam z Mareczkiem na urlop nad morze. Nareszcie na cały miesiąc wyzwolimy się od ciebie...

Karolowi zrobiło się przykro. Znów przez długi stosunkowo okres czasu nie będzie widywał dziecka. Pocięszal się tylko tym, że Mareczek znajdzie się w letniskowej miejscowości i skorzysta z klimatu nadmorskiego.

Podczas następnej wizyty Karol skorzystał z lepszego humoru żony i powiedział:

— Pozwól mi jeden raz odwiedzić syna nad morzem. Najlepiej w dniu 26 sierpnia. W drugą rocznicę urodzin naszego dziecka.

Początkowo wysmiała jego propozycję. Potem jednak zmieniła zdanie.

— Ostatecznie — rzekła możesz przyjechać. Będziecie w Sarbinowie, w pensjonacie „Błękitna Fala”, należącym do Funduszu Wczasów Pracowniczych.

23 lipca Górecki otrzymał list, który zrobił na nim wielkie wrażenie.

— Szanowny Panie — pisała jakaś nieznaną mu osobie kobieta — Pańska żona współżyje cielesnie z przewodniczącym rady zakładowej instytucji, w której pracuje. Nazywa się on Ireneusz Drozdowski. Nie pisałabym tego listu, gdyby nie fakt, że kochankiem Pańskiej żony jest mój mąż. Moja rodzina, składająca się m. in. z dwojga dzieci 17-letniego chłopca i 14-letniej dziewczynki, znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Niech się Pan nie gniewa, że zwracam się do Pana o pomoc. Proszę okiełznać swoją żonę, proszę wytłumaczyć jej, że czyni ona wielką krzywdę moim dzieciom. O mnie już nie chodzi. Jestem ciężko chora i pewnie niedługo umrę. O zdradzie mego męża dowiedziałam się od znajomej kilka dni temu. Moje słabe serce nie wytrzymało tego ciosu. Nastąpił zawał. Leżę teraz w szpitalu. Nie mogę ruszać ani ręką ani nogą. Ten list dyktuję lokatorce sąsiedniego łóżka. Jeszcze raz proszę, aby Pan użył swego wpływu na żonę i uratował moją rodzinę przed rozbitciem.

List upadł na podłogę. Karol zamknął oczy i długo siedział nieruchomo. Potem zaczął się ponuro śmiać. Kilkakrotnie powiedział głośno:

— A jednak Hiob nie zlorczył i nie bluźnił, kiedy Bóg go doświadczał nieszczęściami. Czemuż więc w moje usta cisną się przekleństwa? Czemuż są moje kłębki w porównaniu z kłębami owego biblijnego Żyda?

Kiedy pierwsze wrażenie minęło, zapragnął pomóc jakoś nieszczęsnej autorce listu, a przynajmniej z nią porozmawiać, pocieszyć ją i wytłumaczyć, że nie ma żadnego wpływu na poczynania swojej żony. Niestety, chora nie podała, w którym szpitalu leży. Dwa dni szukał jej Karol po wszystkich lecznicach warszawskich, a gdy wreszcie znalazł, nie mógł już z nią porozmawiać. Leżała bowiem w kostnicy. W „Słowie Powszechnym” przeczytał nekrolog. Kochający mąż, syn i córka, powiadamiali znajomych, że pogrzeb Zofii Drozdowskiej odbędzie się na Powązkach w dniu 28 lipca o godzinie dziesiątej.

Jakaś wewnętrzna siła zaciągnęła Góreckiego na cmentarz. Pewnie to była sympatia dla kobiety, którą Hanna raz na zawsze usunęła ze swojej drogi. Ku swemu zdziwieniu zauważył tam także swoją żonę. Ze smutnym, żalobnym wyrazem na twarzy modliła się nad trumną zmarłej. Karol nie wierzył własnym oczom. Zastanawiał się, czy ogląda wyrafinowany obraz obłudy, czy też wyrzutów sumienia i skruchy? Przyjrzał się również mężowi nieboszczki. Ot, przeciętny mężczyzna, który zaczyna się już starzeć.

— Czym on zajmował Hannie? — zapytywał samego siebie.

Dzieci Drozdowskiej oblewały łzami świeżo usypaną mogiłę...



Nadszedł dzień odjazdu Mareczka. Hanna nie pozwoliła mężowi odprowadzić syna na stację. Ale Karol poszedł tam, aby choć z ukrycia popatrzeć na dziecko przed długą rozłąką.

Górecka odjeżdżała na wczasy razem z Ireneuszem Drozdowskim, ale bez jego dzieci. Widocznie ojciec wyprawił je wcześniej na kolonie letnie lub obozy harcerskie. Zdumienie Karola było wielkie. Myślał:

— Jak to? W kilka dni po pogrzebie mąż zmarłej i jego kochanka oficjalnie wyjeżdżają razem na urlop? Jakaż więc wartość miały modlitwy tych dwojga osób nad trumną i mogiłą Drozdowskiej?

Bez dziecka czas upływał dla Karola, powoli i smutnie. Nie mógł doczekać się dnia wyjazdu swego do Sarbinowa. Za zaoszczędzone na jedzeniu pieniądze kupował prezenty dla syna. Pożyczył także kilkaset złotych od znajomych.

Wreszcie po całonocnej podróży, ranniem 26 sierpnia znalazł się w Sarbinowie. Natychmiast ruszył na poszukiwanie pensjonatu „Błękitna Fala”. Ale im dłużej chodził bez rezultatu ulicami osiedla, tym coraz większy niepokój zakradał się do jego duszy. Zapytywani ludzie nie wiedzieli, gdzie znajduje się „Błękitna Fala”. Na pocztce powiedziano mu, że takiego pensjonatu nigdy w Sarbinowie nie było i nie ma. Potwierdzili to także kierownicy kilku domów wczasowych FWP.

Karol zrozpaczony usiadł nad brzegiem morza. Huczało ono i szumiało. Ale otępiłemu z bólu mężczyźnie wydawało się, że to w jego własnym ciele coś tak szumi i huczy. Nie czuł chłodu fal, które podbiegały ku jego stopom, moczyły je i uciekały z powrotem. Plażowicze ze zdziwieniem przyglądali się osobnikowi prażącemu się w spodniach i w marynarce w taki upalny dzień. A on prawie nie uświadamiał sobie spiekoty. Prześladowały go myśli o podłości ludzkiej. Przecież Hanna wiedziała, że nie opływa w dostatki, że taki wyjazd nad morze był ponad jego siły i możliwości finansowe. A mimo to nie zawahała się narazić go na straty materialne. A zresztą, Karolowi nie chodziło o zmarnowane pieniądze. Najbardziej bolało go to, że nie może zobaczyć Mareczka.

— Teraz — myślał — szatańskie serce Hanny na pewno raduje się z wyrządzonego mi figla.

Dopiero pragnienie wyrwało Góreckiego z zadumy. Spostrzegł, że cały jest mokry od potu. W gardle mu zaschło. Przez chwilę z posępną miną przyglądał się leżącej obok na piasku teście z zabawkami i słodyczkami. Zabrał ją i powłókł się do osady. Zatrzymał się koło najbliższej chałupy rybackiej. Wyciągnął ze studni wiadro wody i napił się łapczywie. Obok pod płótnem bawiło się pałyczkami i kamyczkami malutkie dziecko. Miało pewnie tyle lat, co Mareczek. Chłopczyk tak był zaabsorbowany swoimi sprą-

wami, że nie dostrzegł obcego człowieka. Karol otworzył teczkę i począł ustawiać na piasku obok malca zabaweczki. Najpierw samochodzik — polewaczka, potem pociąg, następnie okręciak, pajacyka, misia i zajęczka. Dziecko oderwało oczy od swoich patyczków i kamyczków i wlepiło je w pojawiające się obok zabawki. Z wrażenia wymówiło kilkakrotnie:

— O, o, o...

Karol wyciągnął także z teczki torbę z czekoladkami i powiedział:

— To wszystko dla ciebie od świętego Mikołaja.

Z chałupy wyszła kobieta. Chłopczyk poderwał się na nogi i pokazując palcem na otrzymane przedmioty, zawołał z przejęciem:

— Mamu, o, o, o...

Górecki zabrał pustą teczkę i poszedł przed siebie. Słyszał jeszcze za sobą słowa kobiety:

— Proszę pana, proszę pana...

Nie obejrzał się. Po policzkach ciekły mu łzy.

★

W pierwszych dniach września w jego mieszkaniu zjawili się nieoczekiwanie Hanna, jej ojciec i brat.

— Zabieram swoje rzeczy — oświadczyła żona.

Jej słowa Karol pokwitował milczeniem. Oparł się o okno i patrzył na ulicę. Stała tam ciężarówka. Haberowie ładowali na nią wszystko, co się dało wynieść z mieszkania. Przyglądał się tej grabieży z ściągniętą obojętnością. Ocknął się dopiero, usłyszawszy słowa żony:

— Zdychają teraz sobie w tym mieszkaniu. Mnie ono już nie jest potrzebne.

Trzasnęła drzwiami. Przez chwilę słyszał tupot jej nóg na schodach. Przypomniał mu się dzień, w którym wprowadził tę kobietę pod dach swego domu. O, gdyby wtedy wiedział, jak się skończy ich małżeństwo!

Mieszkanie wyglądało teraz jak ogród po przejściu przez niego szarańczy. Hanna nie zostawiła mężowi ani jednego talerza. Zabrała wszystkie noże, łyżki i widelce. Ogołociła ich wspólny dom z obrusów, ręczników i prześcieradeł. Nawet radio, które kupił na długo przed ślubem znalazło się na ciężarówce. Ale nie przejmował się tym. Cóż znaczą przedmioty materialne wobec krzywdy, jaką mu wyrządziła, pozbawiając go faktycznie dziecka?

Nazajutrz poszedł na ulicę Strzelecką do Marcuszki, którego nie widział jeszcze od czasu wyjazdu jego nad morze. Ale syna już tam nie było. Teściowa wyjaśniła krótko:

— Wyprowadził się z matką.

— Dokąd? — zapytał.

— Niech się pan dowie w biurze meldunkowym — odburknęła.

Od znajomych Karol dowiedział się, że Hanna mieszka teraz razem z Drozdowskim w pobliżu placu Narutowicza. Poszedł tam. Do mieszkania nie wpuszczono go. Hanna oświadczyła mu, że w poniedziałki i piątki wychodzić będzie z synem na pobliski skwer. Tylko tam może widywać syna.

Karol miał nadzieję, że żona po urządzeniu sobie na nowo życia z innym mężczyzną zaprzestanie dotychczasowych szyszan. Przecież teraz przestała wchodzić w rachubę chęć wykurzenia go z mieszkania. Ale omylił się gruntownie. Hanna nadal zatruwała mu skutecznie każdą minutę wizyty u syna. Robiła to z dużą satysfakcją, powodowana jedynie nienawiścią. Przyczyny tej nienawiści nie miały już teraz żadnego znaczenia. Górecka przecież wybrała sama sobie nowego męża, co prawda nieślubnego, ale za to faktycznego. Nikt jej do tego nie zmuszał. Wprost przeciwnie, zrobiła to wbrew opinii publicznej, wbrew zasadom moralności i wbrew prawom religii, które surowo nakazują wierność małżeńską. Powinna więc być szczęśliwa. A szczęście tłumi w człowieku złe uczucia udoskonala go, uszlachetnia... Niestety, Karol nie zauważył w Hannie żadnej zmiany. Każda wizyta u syna była dla niego męczarnią. Męczył się tak jeszcze pół roku po powrocie Marcuszki znad morza. Zauważył, że matka świadomie uczy dziecko nienawiści do ojca. Któregoś dnia Marcuszek przywitawszy się z Karolem, podbiegł do matki i tarmosząc ją za sukienkę, powiedział:

— Mamu, tata nie be, tata nie be...

To własne zdanie u dwu i półletniego chłopca wywołało u Góreckiej szalę gniewu. Dziecko dostało kilka mocnych klapsów, a resztę złości wyładowała ona na swym ślubnym małżonku. Potem przez kilka tygodni w ogóle nie wychodziła w poniedziałki i piątki na skwer z synem i nie dopuszczała Karola do domu. Poszedł więc znów do sądu prosić o interwencję. Tam po raz pierwszy skorzystał z przysługującego mu prawa i przejrzał teczkę z aktami sprawy. Teraz już przestał się dziwić, dlaczego teczka ta jest taka gruba. Pełno w niej było listów Zygmunta Habera. Teść systematycznie raz w tygodniu posyłał do sądu donosy na zięcia. Oskarżał go o sadyzm w stosunku do żony i dziecka, o rozpustę, o pijaństwo, o antypaństwowe wypowiedzi i o wszystkie inne grzechy główne. Oskarżenia swoje popierał wymyślonymi faktami. W jednym z listów domagał się, aby sąd z urzędu sprawdził co Górecki robił w czasie wojny, bo on Zygmunt Haber, ma wiarygodne informacje, że jego zięć był wtedy bandytą i mordował polskich działaczy postępowych. Donosy teścia przeplatane były listami jego córki. Ta również popisywała się fantazją, oczerniając Karola, czym się tylko dało. Najbardziej jednak zaskoczyła Góreckiego notatka służbowa, sporządzona przez sędzię. Z notatki tej dowiedział się, że do sądu zgłosił się Ob. Fibiszewski, przedstawiciel rady zakładowej instytucji, w której pracowała Hanna, i domagał się pozbawienia Karola praw rodzicielskich. Żądanie swe uzasadniał całkowitą deprawacją moralną i złymi skłonnościami, jakie rada zakładowa stwierdziła u ojca Marcuszki. Przedstawiciel rady twierdził, że takich kroków domaga się interes społeczny. Rada zakładowa, jako reprezentant tego interesu, poczuwa się do obowiązku wystąpienia w obronie maltretowanej kobiety i jej dziecka. Do tej notatki załączona była pisemna opinia rady zakładowej o pozytywnych walorach moralnych i obywatelskich Hanny Góreckiej oraz pismo upoważniające ob. Fibiszewskiego do reprezentowania w Sądzie dla Nieletnich interesów Góreckiej. Zarówno opinia, jak i pełnomocnictwo dla Fibiszewskiego podpisane były jednoosobowo przez Ireneusza Drozdowskiego.

Karol patrzył na te dokumenty i nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Ale fakt był faktem. Autorytet rady zakładowej wykorzystany został przez przewrotną kobietę za pośrednictwem jej kochanka, przewodniczącego tej rady, do podłej intrygi. W pierwszej chwili Górecki chciał biec do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych, a także do Centralnej Rady Związków Zawodowych i zaprotestować przeciwko nadużyciu przez Drozdowskiego i Fibiszewskiego uprawnień rady zakładowej. Zamierzał również wytoczyć proces sądowy tym dwu mężczyznom, a także Zygmunutowi Haberowi i Hannie Góreckiej o oszczerstwa i zniesławienie. Ale po namyśle machnął na wszystko ręką. Żeby się procesować, trzeba mieć pieniądze i świadków. A on jest biedny i sam jeden. Tamci w sądzie go zakraczą. Poza tym bał się o swoje serce. Czy wytrzyma ono nowe ciosy, których mu źli ludzie nie poskapią?

Karol poczuł, że jest bezgranicznie słaby i bezradny. W mózgu rozparło się przekonanie, że ze Złiem nie wygra, że Złiu trzeba ustąpić z drogi.

Zamknął teczkę z aktami i opuścił gmach sądu, rezygnując z prośby o interwencję. Jeszcze tego samego dnia spał walizkę i pojechał na Mazury. Przeczytał w gazecie, że tamtejsze państwowe gospodarstwa rolne potrzebują robotników sezonowych. Na Mazurach długo nie wysiedział. Po miesiącu pracy w PGR spał znowu manatki i wyjechał w Bieszczady. Ale i tam nie zagrażał miejsca. Tęsknota do syna nigdzie nie pozwoliła mu zatrzymać się dłużej. Aby zdławić zabić w sobie tę tęsknotę jeździł po kraju wzdłuż i wszerz, po trosze jako turysta, a po trosze jako robotnik sezonowy. Od czasu do czasu zawadzał o Warszawę. Płacił wtedy rachunki za komorne, załatwiał niezbędne sprawy osobiste i znów uciekał. Co się działo z dzieckiem i żoną, nie wiedział. Przypuszczał, że teraz mają spokój. Żona pozbyła się obiektu nienawiści, a syn przy-

najmniej wychowuje się w atmosferze pobawionej czadu wrogości. Może to i dla niego lepiej, że nie widzi ojca? Pieniądze na utrzymanie Marcuszki posyłał pocztą. Omylił się jednak, sądząc, że czas i trwała różniak zabija w nim miłość i tęsknotę. Minęło półtora roku od chwili, gdy uciekł przed złą wolą ludzką, a spokoju nie znalazł. Wprost przeciwnie. Tęsknota za dzieckiem wzrastała w jego duszy do koszmarnych rozmiarów. Dłużej nie miał siły z nią walczyć. Powiedział sobie:

— Pojadę, popatrzę na syna z daleka i z ukrycia i znów ucieknę.

Wrócił do Warszawy, aby zrealizować to postanowienie. Długo krążył koło kamienicy, w której mieszkała Hanna z Drozdowskim. Miał nadzieję, że żona wyjdzie z synem na spacer. Czekał jednak nadaremnie. Zatrwożył się.

— A może Marcuszek jest chory? — pomyślał. — Może już nie żyje? Może już tu nie mieszkają?

Z bijącym z niepewności sercem wszedł do kamienicy. Idąc powoli po schodach na górę, usłyszał pochlipywanie jakiegoś dziecka. Tknięty złym przeczcieniem przyspieszył kroku. Na drugim piętrze siedział pod oknem na posadzce klatki schodowej mały chłopczyk. Płacząc zwilżał usłinionym paluszkami czerwone pręgi na nogach. Karolowi pociemniało w oczach. To był Marcuszek. Ale jakże niepodobny do tego, którego widział przed osiemnastoma miesiącami. Wyrósł, to prawda. Był jednak teraz brudny, obdarty, wymizerowany i pobity.

— Dziecko, kto ciebie tak zbił? — zapytał Karol zdławionym ze wzruszenia głosem.

Chłopczyk nie podnosząc główki, odpowiedział:

— Wujek Irek, ale mama też mnie bije.

Karol zajrzał za koszulę malca. Jego plecy, podobnie jak i nogi, pokryte były siniakami i czerwonymi pręgami. Ślady dawnego bicia sąsiadowały ze świeżymi. Często zachodziły na siebie.

— Za co oni ciebie tak biją? — wyjąkał ojciec przejęty zgrozą.

— Wujek mnie nie lubi. Mówi, że jestem bachorem. A mama ma maluśkiego dziadziusia. Jego kocha. Ja jestem dla niej ciężarem i zmarnowałem jej życie — tłumaczył chłopczyk zmieszczając po dziecinnemu wyrazy.

Karol czuł w gardle dławiący ucisk. Do oczu cisnęły mu się łzy. Powiedział:

— Marcuszek, czy ty mnie nie poznajesz? Ja jestem twoim tatusem.

Dziecko przestało płakać. Dopiero teraz spojrzało na człowieka, z którym rozmawiało. Po chwili rzekło smutnie i z żalem:

— A ja ciebie wołałem, tak głośno wołałem...

Łzy trysnęły z oczu ojca. Nie mógł ich już powstrzymać. Wziął syna w ramiona i całował jego brudną twarzyczkę. O, jakże w tej chwili nienawidził samego siebie. Nie mógł sobie darować, że wtedy przestraszył się szyszan i oszczerstw i uciekł przed własnym synem, wydając go na łup złych ludzi. Gdyby był został i czuwał z bliska nad dzieckiem, to ani Hanna, ani jej kochanek nie ośmieliliby się znęcać nad maleńką, bezbronną istotą. Zresztą on, Karol, nie pozwoliłby nigdy na to. Był cierpliwy, dopóki sam cierpiał, ale zmieniłby się w lwa, gdyby wiedział, że synowi dzieje się krzywda. Jednak nie czuwał... Uciekł. Powinien był wiedzieć, że Hanna dbała o dziecko, dopóki mogła je wykorzystywać jako narzędzie zemsty na mężu. Gdy mąż się usunął, znienawidziła syna. Ale nie, on — ojciec, nie przewidział niczego. Postąpił, jak ostatni tchórz, dla własnego spokoju wyrzekł się dziecka...

— Marcuszek — powiedział głośno — już nikt nigdy nie będzie ciebie bił. Zabieram cię do swego domu. Będiesz już zawsze mieszkał z mną. Nikomu cię nie oddam, nikomu... A teraz pojedziemy do lekarza. Niech urzędowo stwierdzi, jak mocno i nie miłosiernie byłeś bity. Stamtąd pojedziemy do sądu. Niech pani sędzina sama obejrzy twoje ciało.

Chłopczyk oplótł ramionami szyję ojca i przytulił swoją twarzyczkę do jego twarzy.

Karol zniósł dziecko ze schodów. Na ulicy zatrzymał taksówkę...

Koniec



## HOMEK – AMFIBIA



Nowoczesny domek na kółkach można zamienić na pływający „hotel” o ile wakacje spędza się nad wodą.

## W GROTAH CZARNOGÓRY



W malowniczych górach Czarnogóry w Jugosławii, można oglądać pełne uroku i surowości grotty, które w sezonie letnim rojne są od turystów z całej Europy. Turystyka w Jugosławii, to jedno ze źródeł dewiz, z roku na rok ustawnie się rozwija.



Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do granicy, która jest o 40% droższa – przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 75, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 75; dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Zakłady Wkłędodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72, Zam. 2434, M-47.